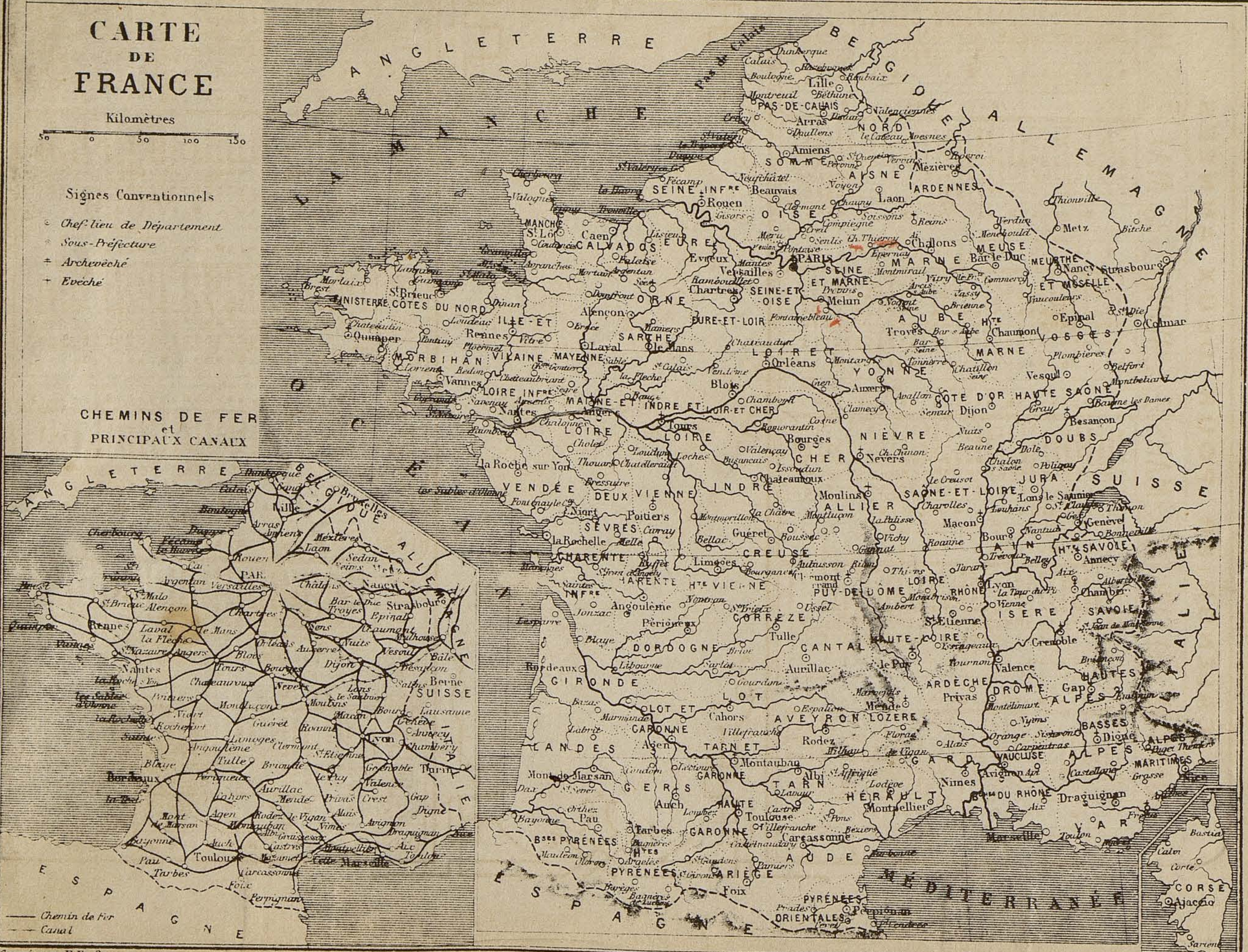


Gravé par F. Dufour. Imp. Fleury Paris Publié par A. CECILLE Editeur



II

CALENDRIER POUR DEUX ANNÉES

JANV.

1880	1879		JANV.
J	M	1	Circoncision
V	J	2	S. Clair
S	V	3	Ste Geneviè
D	S	4	Ste Clémenc
L	D	5	Ste Amélie
M	L	6	Epiphanie.
M	M	7	Noces.
J	M	8	S. Lucien.
V	J	9	S. Pierre.
S	V	10	S. Paul.
D	S	11	S. Hilaire.
L	D	12	S. Alfred.
M	L	13	Bapt. de J
M	M	14	S. Félix
J	M	15	S. Maur.
V	J	16	S. Guillaun
S	V	17	S. Antoine
D	S	18	Ch. S. P. à R
L	D	19	S. Sulpice
M	L	20	S. Sébastic
M	M	21	Ste Agnès.
J	M	22	S. Vincent.
V	J	23	S. Ildefons
S	V	24	S. Babylas
Sept	S	25	Conv. S. Pa
L	D	26	Ste Paule
M	L	27	S. Julien.
M	M	28	S. Charlem
J	M	29	S. F. de S.
V	J	30	Ste Bathil.
S	V	31	Ste Marcell

FÉVR.

1880	1879		FÉVR.
D	S	1	S. Ignace.
L	D	2	Purification
M	L	3	S. Anatole
M	M	4	S. Gilbert
J	M	5	Ste Agathe
V	J	6	S. Amand.
S	V	7	S. Romual
D	S	8	S. Jean M
L	D	9	Septuages
M	L	10	Ste Scholas
Cen	M	11	S. Séverin
J	M	12	Ste Eulalie
V	J	13	S. Lézin.
S	V	14	S. Valenti
D	S	15	S. Faustin
L	D	16	Sexagési
M	L	17	S. Théodc
M	M	18	S. Siméon
J	M	19	S. Gabin.
V	J	20	S. Eucher
S	V	21	S. Pépin
D	S	22	Ste Isabell
L	D	23	Quinquagé
M	L	24	S. Mathias
M	M	25	Mardi Gr
J	M	26	Cendres.
V	J	27	Ste Honorin
S	V	28	S. Romain
D			

om. d'Or 18. Epacte VII. Cyc. S
ndict. Rom. 7. Lettre Domi

MARS

1880	1879		MARS
L	S	1	S. Aubin.
M	D	2	Quadragé.
M	L	3	Ste Cunégo
J	M	4	S. Casimir
V	M	5	IV Temps
S	J	6	Ste Colette
D	V	7	Ste Perpét
L	S	8	S. Ponce.
M	D	9	Reminiscer
M	L	10	S. Blanch
J	M	11	S. Firmin
V	M	12	S. Pol ev.
S	J	13	Ste Euphra
D	V	14	Ste Mathilc
L	S	15	S. Zachar
M	D	16	Oculi.
M	L	17	Ste Gertruc
J	M	18	S. Alexan
V	M	19	S. Joseph
S	J	20	S. Joachi
D	V	21	S. Benoit.
L	S	22	S. Epaph.
M	D	23	Laetare
M	L	24	S. Gabriel
J	M	25	Annonciatio
V	M	26	S. Ludger
S	J	27	S. Rupert
Pâque	V	28	S. Gontrar
L	S	29	S. Frisque
M	D	30	Passion.
M	L	31	Ste Balbine

AVRIL

1880	1879		AVRIL
J	M	1	S. Hugues
V	M	2	S. Fr. de P
S	J	3	S. Richar
D	V	4	S. Isidore
L	S	5	S. Ambroi
M	D	6	Rameaux.
M	L	7	S. Clotair
J	M	8	S. Edèze.
V	M	9	Ste Marie
S	J	10	S. Fulber
D	V	11	Vend. Sain
L	S	12	S. Jules.
M	D	13	PAQUES
M	L	14	S. Tiburc
J	M	15	Ste Anast
V	M	16	S. Fructu
S	J	17	S. Anicet
D	V	18	S. Parfai
L	S	19	S. Léon.
M	D	20	Quasimodo
M	L	21	S. Ansel.
J	M	22	Ste Opport
V	M	23	S. George
S	J	24	S. Léger.
D	V	25	S. Marc.
L	S	26	S. Clet.
M	D	27	S. Fréder
M	L	28	S. Vital.
J	M	29	S. Robert
V	M	30	S. Eutrop

MAI

1880	1879		MAI
S	J	1	S. Jac. S. P
D	V	2	S. Athana
L	S	3	Inv. Ste Cro
M	D	4	Ste Moniqu
M	L	5	Conv. S. A
J	M	6	S. Jean P. I
V	M	7	S. Stanisl
S	J	8	S. Désiré
D	V	9	Tr. S. Nice
L	S	10	S. Gordie
M	D	11	S. Mamert
M	L	12	S. Marcel
J	M	13	S. Servais
V	M	14	S. Pacôme
S	J	15	S. Isidore
Pente	V	16	S. Honoré
L	S	17	S. Pascal
M	D	18	S. Venanc
M	L	19	Rogations
J	M	20	S. Bernar
V	M	21	S. Hospic
S	J	22	ASCENS
D	V	23	S. Didier.
L	S	24	S. Donatie
M	D	25	Oct. Ascen
M	L	26	S. Quadra
J	M	27	S. Hildeve
V	M	28	S. Germ.
S	J	29	S. Maximi
D	V	30	S. Félix.
L	S	31	Vigile Je

JUIN

1880	1879		JUIN
M	D	1	PENTEC
M	L	2	Ste Emilie
J	M	3	Ste Clotilde
V	M	4	IV Temps.
S	J	5	Ste Valérie
D	V	6	Ste Olympe
L	S	7	S. Lié
M	D	8	Trinité
M	L	9	Ste Pélagie
J	M	10	S. Landri
V	M	11	S. Barnab.
S	J	12	Fête Dieu
D	V	13	S. Ant. de
L	S	14	S. Rufin.
M	D	15	S. Modeste
M	L	16	S. Fargeau
J	M	17	S. Avit.
V	M	18	Ste Marine.
S	J	19	Oct. F. D
D	V	20	S. Silvère.
L	S	21	S. Leufroi.
M	D	22	S. Paulin
M	L	23	S. Andry
J	M	24	Nat. S. J. B
V	M	25	S. Prosper.
S	J	26	S. Babolein
D	V	27	Ste Adèle
L	S	28	S. Léon II
M	D	29	S. Pier. S. P.
M	L	30	Com. S. Paul

Breveté s.g.d.g.

A. C. Editeur

JUILLET

1880	1879		JUILLET
J	M	1	Ste Eléonor
V	M	2	Visit. de N
S	J	3	S. Thierry
D	V	4	Ste Berthe
L	S	5	Ste Zoé.
M	D	6	S. Tranqui
M	L	7	Ste Aubier
J	M	8	S. Procop
V	M	9	S. Cyrille.
S	J	10	Ste Félicité
D	V	11	Tr. S. Ben.
L	S	12	S. Gualber
M	D	13	S. Eugène
M	L	14	S. Bonaver
J	M	15	S. Henri.
V	M	16	S. Eustate
S	J	17	S. Aléxis
D	V	18	S. Thom. d
L	S	19	S. Vinc. P.
M	D	20	Ste Marguer
M	L	21	S. Victor.
J	M	22	Ste Magdel
V	M	23	S. Apolina
S	J	24	Jours Ca
D	V	25	S. Jacques
L	S	26	Tr. S. Mar.
M	D	27	Ste Christin
M	L	28	Ste Anne.
J	M	29	Ste Marthe.
V	M	30	S. Abdon.
S	J	31	S. Germ. l'

AOÛT

1880	1879		AOÛT
D	V	1	Ste Sophie
L	S	2	S. Alphon
M	D	3	Inv. S. Eti
M	L	4	S. Dominic
J	M	5	S. Yon
V	M	6	Transf. J.
S	J	7	S. Gaëtan
D	V	8	S. Justin.
L	S	9	S. Amour.
M	D	10	S. Laurent
	L	11	Ste Suzann
J	M	12	Ste Claire.
V	M	13	S. Hippoly
S	J	14	Vigile Je
D	V	15	ASSOM
L	S	16	S. Roch.
M	D	17	S. Mammè
M	L	18	Ste Hélène
J	M	19	S. Louis
V	M	20	S. Bernar
S	J	21	S. Privat.
D	V	22	S. Symph
L	S	23	S. Sidoine
M	D	24	S. Barthé
M	L	25	S. Louis r
J	M	26	Fin des J
V	M	27	S. Césaire
S	J	28	S. August
D	V	29	S. Médéri
L	S	30	S. Fiacre.
M	D	31	S. Raymon

SEPT.

1880	1879		SEPT.
M	L	1	S. Leu. S. G
J	M	2	S. Lazare
V	M	3	S. Grégoir
S	J	4	Ste Rosalie
D	V	5	S. Bertin
L	S	6	S. Onésip
M	D	7	S. Clond.
M	L	8	Nativ. N. D
J	M	9	S. Omer.
V	M	10	S. Pulché
S	J	11	S. Hyacin
D	V	12	S. Rapha
L	S	13	S. Maurill
M	D	14	Ex. Ste Cro
M	L	15	S. Nicomè
J	M	16	S. Corneil
V	M	17	IV Temps
S	J	18	S. Jean Ch
D	V	19	S. Janvier
L	S	20	S. Eustac
M	D	21	S. Mathie
M	L	22	S. Mauric
J	M	23	S. Thècle
V	M	24	S. Andocl
S	J	25	S. Firmin
D	V	26	Ste Justin
L	S	27	S. Côme.
M	D	28	S. Céran.
M	L	29	S. Michel
J	M	30	S. Jérôm

OCTO.

1880	1879		OCTO.
V	M	1	S. Rémi.
S	J	2	SS. Ange
D	V	3	S. Cyprien
L	S	4	S. Franç
M	D	5	Ste Aure.
M	L	6	S. Bruno.
J	M	7	S. Serge.
V	M	8	Ste Brigit.
S	J	9	S. Denis.
D	V	10	S. Paulin.
L	S	11	S. Gomer.
M	D	12	S. Vilfrid.
M	L	13	S. Edouar
J	M	14	S. Caliste
V	M	15	Ste Thérès
S	J	16	S. Gal ev.
D	V	17	S. Cerbon
L	S	18	S. Luc ev
M	D	19	S. Savinie
M	L	20	S. Caprais
J	M	21	Ste Ursule.
V	M	22	S. Léopol.
S	J	23	S. Hilarion
D	V	24	S. Magloir
L	S	25	S. Crép. S
M	D	26	S. Rustiqu
M	L	27	S. Frumen
J	M	28	S. Simon S
V	M	29	S. Faron.
S	J	30	S. Lucain.
D	V	31	Vigile Je

NOVE.

1880	1879		NOVE.
L	S	1	TOUSSAI
M	D	2	Trépassés
M	L	3	S. Marcel.
J	M	4	S. Charles
V	M	5	S. Zachari
S	J	6	S. Léonard
D	V	7	S. Ernest.
L	S	8	Ste Relique
M	D	9	S. Mathuri
M	L	10	S. Juste.
J	M	11	S. Martin.
V	M	12	S. René.
S	J	13	S. Brice.
D	V	14	S. Bertra
L	S	15	Ste Eugénie
M	D	16	S. Edme.
M	L	17	S. Agnan.
J	M	18	S. Aude.
V	M	19	Ste Emma.
S	J	20	S. Edmo.
D	V	21	Présent. N
L	S	22	Ste Cécile.
M	D	23	S. Clémen
M	L	24	S. Severin
J	M	25	Ste Catheri
V	M	26	S. Conrad.
S	J	27	S. Maximi
Avent	V	28	S. Sosth.
L	S	29	S. Saturni
M	D	30	Avent.

DÉCE.

1880	1879		DÉCE.
M	L	1	S. Eloi.
J	M	2	S. Franç. Xa
V	M	3	S. Eloque.
S	J	4	Ste Barbe
D	V	5	S. Sabas.
L	S	6	S. Nicolas
M	D	7	S. Ambrois
M	L	8	Imm. Concep
J	M	9	Ste Hortens
V	M	10	S. Valère.
S	J	11	S. Daniel.
D	V	12	S. Valéri
L	S	13	Ste Lucie.
M	D	14	S. Emmanu
M	L	15	S. Mesmin.
J	M	16	Ste Adélaïde
V	M	17	IV Temps.
S	J	18	S. Gatien.
D	V	19	S. Timothé
L	S	20	S. Philog.
M	D	21	S. Thomas.
M	L	22	S. Honorat.
J	M	23	Ste Victoire
V	M	24	Vigile Jeu.
S	J	25	NOEL
D	V	26	S. Etienne
L	S	27	S. Jean.
M	D	28	SS. Innoc.
M	L	29	S. Trophim
J	M	30	S. Sabin
V	M	31	S. Sylvestr

Zeszyt V.

Notatki autobiograficzne Jana Nepomucena Janowskiego.

Dalszy ciąg.

oddano mi paszport, który tam był złożony, ale oddano mi go z oznajmieniem, że, w skutek wyższego rozkazu, mam wyjechać, najpóźniej we 24 godzin – binnen vier und zwanzig Stunden. Oznajmiający mi to urzędnik zachował dla mnie wszelkie formy grzeczności, prosił mnie naprzód siedzieć, a potém przemawiając do mnie, mówił z pewną nieśmiałością, spuszczając na dół oczy. Nie było się co opierać, oświadczyłem mu jednak, że ten Befehl był niepotrzebny, bo ja już sam o wyjeździe myślałem, i może jeszcze tego samego dnia wieczorem wyjadę. Jakoż, wyszedłszy z policyi, poszedłem wprost zamówić sobie miejsce w dyliżansie, który wieczorem odchodził do Stuttgardu. Tym sposobem miałem już tylko kilka godzin do zabawienia w gościnnéj dla mnie Tybindze. Gme-

linowie, z którymi zjadłem jeszcze objad, chcieli mię do następnego dnia zatrzymać, mówiąc, że się zanadto z wyjazdem spieszyłem, skoro mnie policya tego samego dnia jeszcze nie wydalała. Toż samo mówił mi Kübel z żoną, u którego na chwilę byłem z pożegnaniem; ale ja od mego postanowienia nie odstąpiłem, w części i dlatego, że w przeciwnym razie przepadłby mi był zadatek, jaki na wyjazd tego samego wieczora dałem w bjurze dyliżansu. Uprzejma i zacna pani Gmelin zmusiła mnie przyjąć dwie czy trzy w dobrym gatunku koszule, dwie czy trzy pary szkarpetek i jeszcze parę sztuk innej bielizny, a oraz piękną srebrną cygarniczkę, którą się niedługo cieszyłem, jak o tém wkrótce może wspomnę. Uhland, który przed moim wyjazdem, nadszedł był do Gmelinów, dał mi na pamiątkę świeżo wydany tomik swoich poezyj: "Vaterländische Gedichte". Prócz tego, tak Uhland jak Gmelin dali mi listy polecające do swoich przyjaciół czy dobrych znajomych: w Sztuttgardzie, w Carlsruhe, we Fryburgu i w Szwaj-

caryi z powodu, że wówczas ze Szwacaryi a mianowicie z Genewy spodziewałem się najpewniej dostać wprost do Paryża. Jakkolwiek mój pobyt w Tybindze był krótki i krótka z wymienionémi osobami moja znajomość, rozstawałem się z niémi jakby ze starymi przyjaciołmi. Życząc mi zdrowia i szczęśliwéj podróży, Uhland i Gmelin prosili mnie, abym do nich pisywał i donosił im, jak mi się będzie powodziło. Uwiadomieni Bursze o moim wyjeździe wydelegowali do mnie z pożegnaniem kilku z pomiędzy siebie, i ci mnie do dyliżansu odprowadzili.

Stuttgard

Do Stuttgardu przybyłem nazajutrz, t.j. 29 Grudnia, i stanąłem, jak mi (w) Tybindze radzono, w hotelu zum Waldhorn, który uważano za najpierwszy w całém mieście, i w którym niedawno przedtém stali generałowie Ramorino, Sznajde i Langerman. Zastałem tam już doktora Jana Brawackiego, o którym mówiłem wyżéj; był on bardzo rad ze spotkania się ze mną. Mając z Tybingi list polecający do Dra Mebold, redaktora świeżo tam założonéj w duchu liberalnym a w opozycyi

przeciw starej Augsburce — gazety "Deutsche allgemeine Zeitung", zapoznałem się z nim naprzód. Ten zapoznał mnie niebawem z Rudolfem Lohbauer, redaktorem drugiego liberalnego dziennika "Der Hochwächter." Ci dwaj, wraz z kilkoma ze swoich przyjaciół, a mianowicie z doktorem Schweinle, świeżo przybyłym z gen. Ramorina, przy którego sztabie był lekarzem, wyprawili objad, 31 Grudnia, w tym samym hotelu "zum Waldhorn", mnie, Brawackiemu i bawiącemu tam już Francuzowi Demarre czy Dumarre, majorowi ze sztabu Ramoriny. Na tym objedzie było około 30 osób. Wino reńskie w zielonych kieliszkach, które musiało bydź prawdziwe, bo miało odmienny smak od tego, ~~które~~ jakie pod tą nazwą, pijałem w Warszawie, robiło swój skutek. Rozmowy były ożywione, zabierano głosy, wznoszono toasty na cześć Polaków i Polski, a także i na zdrowie "obecnych gości", ale wyrażano się z pewną, że tak powiem, dyplomatyczną ogłędnością: pałac królewski był niedaleko, i policya czuwała. Po objedzie, wieczorem, Mebold, Lohbauer, Schwein-

le, Dumarre czy Demarre, Brawacki i ja – a może i ktoś więcej – poszliśmy do porządnej restauracyi, położonej w wielkim ogrodzie, cokolwiek za miastem. Tam czekało nas, przebranych po cywilnemu, kilku oficerów z załogi w Ludwigsburgu, niedalekiej od Stuttgardu rezydencyi królewskiej. Zbyteczną prawie rzeczą nadmieniać, że wszyscy byli młodzi, liberalnie usposobieni i niższych stopni; oświadczali się oni z wielką sympatyą dla sprawy polskiej, i nie taili się z tem, że gdyby w Niemczech wybuchła rewolucya dla zrzucenia jarzma tak zwanego św. Przymierza, oni gotowi do niej należeć. Przyjemnie też zeszedł na cały wieczór z nimi. Wybitną rolę tego wieczora grał na pozór pomiędzy nami, chcę mówić najwięcej zwracał na siebie uwagę młodych oficerów würtemberskich Demarre czy Dumarre. Był to mężczyzna okazałej postawy: dobrego wzrostu i dobrej tuszy z zawiesistym wąsem. Porządna czamara, na której błyszczał złoty krzyż "Virtuti militari", była mu do twarzy i nadawała mu zupełnie minę szlachcica polskiego w do-

brym humorze, przy dobrej fantazyi. Ja sam lubiłem na niego patrzeć. Słuchał on zdań politycznych bez żadnych uwag ze swej strony; swego własnego zdania nie objawiał, bo go zapewne nie miał. Około północy opuściliśmy to ustronne miejsce: oficerowie powrócili do Ludwigsburgu, a my do miasta. Kiedyśmy przechodzili około pałacu królewskiego, Lohbauer, który się ze mną, mogę powiedzieć, odrazu zaprzyjaźnił, rzekł do mnie, wskazując ręką: „Tu nie mieszkają przyjaciele Polski..." „Wierzę temu" odpowiedziałem mu, nie chcąc w tej chwili i w tém miejscu z takiego tematu wchodzić z nim w rozmowę. Przecież z powrotem do miasta nie skończył się dla nas Sylvester-Abend. Wiadomo, że Niemcy lubią, pod tą nazwą, z 31 Grudnia na 1 Stycznia, całą noc bawić się i ucztować.(x) We wszystkich też domach, w środku miasta, widać jeszcze było światło przez okna, a wszystkie miejsca publiczne były otwarte. Przechodząc przed jedną z większych winiarni, spotkani zostaliśmy przez

przyjaciół naszych przewodników, chcę mówić: Metolda, Lohbauera i Schweinlego, i wszyscy zaproszeni zostaliśmy do wnijścia. Ja i Brawacki radzi już byliśmy pójdź na spoczynek, i opieraliśmy się temu, dziękując zapraszającym na ich grzeczność. Gdy atoli dr Schweinle, biorąc mnie i Brawackiego za ręce, powiedział: "Kommen Sie nur herein, wir werden noch mehrmal die Gläser anstossen" daliśmy się nakłonić, przypomniawszy sobie przysłowie: Dla kompanii dał się cygan obwiesić. Dr Schweinle, którego piersi zdobił także krzyż Virtuti militari, mężczyzna w sile wieku, i jak Francuz D. wzrostem okazały, był, zdawało się, ogólnie lubiony i poważany w rodzinnem swém mieście. W Nowyroku czy 2 Stycznia, wieczorem, zaprowadził on nas na koncert wokalny i muzykalny, który dawało jakieś towarzystwo śpiewu. Gdyśmy, tj. ja, Brawacki i Francuz D., z nim na czele, wchodzili do sali koncertowéj, mężczyzni i liczne grono kobiét wystrojonych, wszystko powstało, i zaśpiewano chórem, grzmiąco: "Noch ist Polen nicht verloren, co oczywiście na nas dwóch Polakach

(x) Taką nocną kolacyę zowią Niemcy w szczególności Nachtmahlzeit; u nas, w Polsce, lubo nie wszędzie zowią ją podkurkiem, a we Francyi réveillon; dawniej zwanej tam médianoche.

jako też i na Francuzie D. głębokie sprawiło wrażenie; byliśmy prawie rozrzewnieni. W przerwach wszyscy mężczyzni jak kobiéty, zajmowali się nami, i nie szczędzili nam pojedyńczo oświadczeń szczérego — jak mówili i jak się zdawało, współczucia — aufrichtiges Mitgefühl. Tyle pamiętam z tego koncertu, którego wspomnienie jest mi zawsze miłém.

Najmilszém jednak wspomnieniem, z mego krótkiego pobytu w Stutgardzie, było zaprzyjaźnienie się Lohbauera ze mną. Był on w moim wieku, i we wszystkiém, o czém z sobą mówiliśmy, zgadzał się ze mną; wyjąwszy, że lubo Ludwika Filipa uważał, jak ja, za kuglarza, Francyę nazywał zgrzybiałą — abgelebt, a ja temu przeczyłem. Wytłómaczył on był z francuskiego, podczas naszego powstania, romans historyczny — nie pomnę, którego autora — pod tytułem: "Olesia ou la Pologne", zawierający rys powstania Kościuszki. Gdy mi to swoje tłómaczenie pokazał, powiedziałem mu, że mojéj już niejako narzeczonéj w Warszawie było właśnie na imię Alexandra, tj. pieszczotliwie po polsku Olesia. Ponieważ zaś już był widział u mnie

czérwoną konfederatkę, któréj nie nosiłem, rzekł zaraz potém do mnie: Daj mi ją, a ja w zamian każę Ci ulać pierścień, zewnątrz żelazny a wewnątrz srebrny, z twoim monogramem (J. N. J.) we środku a naokoło z napisem: A ou la P. To ci będzie przypominało twoją ulubioną (Geliebte), Polskę i mnie." – "A jak polsku: Vorwärts"? spytał daléj. "Vorwärts po polsku naprzód," odpowiedziałem. "Więc naprzód, to moje a jak widzę, i twoje godło, będzie pod twoim monogramem na pierścieniu, który ci będzie mógł służyć za pieczątkę." Żelazo, podług niego, miało znaczyć siłę i wytrwałość, a srebro otwartość serca i czystość uczuć. Jakoż kazał mi ulać taki pierścień, ale że ja nie mogłem w Stutgardzie długo bawić, przysłał mi go dopiéro do Strasburga. Raz tylko czy dwa razy pisałem później do tego poczciwego i tyle mi życzliwego Szwaba. (Używam tu tego wyrazu "Szwab" nie w pogardliwém, jakie ma u nas, znaczeniu, ale że każdy Wirtemberczyk sam się tak nazywa i dzisiejsze Królestwo Wirtemberskie zwało się niegdyś Szwabią.) Dopiéro po długim

upływie czasu, dowiedziałem się, że w r. 1832, po ukróceniu a raczéj zniesieniu wolności druku w Niemczech, a może jeszcze i z innéj niewiadoméj mi przyczyny, musiał i on emigrować, i że potém był w Zurychu, profesorem filologii w tamtejszym uniwersytecie. Zgłosiłem się, też był zaraz do niego, ale nadaremnie: albo go mój list nie doszedł, albo go też tam już nie było. Został mi zawsze ów pierścień jako miła po nim pamiątka.

Wspomniałem wyżéj, mówiąc o moim pobycie w Tybindze, że niedługo cieszyłem się piękną, srebrną, cygarniczką, którą mi pani Gmelin była łaskawa podarować. Otóż powiem tu, jak się to stało. W przeddzień mego wyjazdu ze Stutgardu, przybył tam pułkownik Berkowicz, izraelita, syn sławnego Berka z pod Kocka, który w powstaniu miał osobny oddział z samych izraelitów złożony, i stanął także w hotelu zum Waldhorn. Gdym się, w sali jadalnéj przy kominku, z nim spotkał i zawiązał rozmowę, ujrzał ową moją srebrną cygarniczkę, i tak mu się odrazu spodobała, że mi się jéj na-

part. Kto inny na mojém miejscu nie byłby zapewne tego podarunku zrobił. Ale ja nie podzielając powszechnych u nas uprzedzeń przeciw starozakonnym, owszem gotów zawsze, w interesie narodowym, ich sprawy bronić, nie miałem śmiałości odmówić mu, i mówiąc tylko: „Niechaj Panu służy!" oddałem natychmiast tak pożądaną cygarniczkę, chociaż go dopiéro piérwszy raz widziałem i znałem tylko z nazwiska. Nie wspominałbym wcale o tém, gdyby Berkowicz, spotkawszy się znowu ze mną, w miesiąc czy później, w Paryżu w kawiarni Rossignol, blisko Palais Royal, gdzie się Polacy zbierali, nie zapragnął był odemnie drugiego, takiegoż samego podarunku. Nie miał on już wówczas wyłudzonéj na mnie w Stutgardzie cygarniczki, i mówił, żaląc się, że mu ją w hotelu skradziono. Zobaczywszy zaś, że mam znowu podobną, także srebrną, przymówił mi się znowu i o tę, z większą jeszcze niż o piérwszą śmiałością. Dałem mu i tę, z nadmienieniem wszakże, iż już takiéj trzeciéj u mnie nie zobaczy, „bo uważam teraz — dodałem — że dla emigranta dobra i za parę susów drewniana, a

nie wiem, czy i na cygara będę miał długo pieniądze. Była to z mej strony zbytnia powolność a raczej słabość, i ją ja sobie po chwili wyrzucałem — bo Berkowicz, prócz tego, że wziął czynny udział w powstaniu, nie odznaczył się żadnym wybitniejszym czynem jako dowódzca oddziału czy oddziaiku, i samą tylko swoją dobrą chęcią mógł we mnie dla siebie wzbudzać jakieś poważanie. Wyrzucając sobie, po chwili rozmysłu, moję zbytnią powolność czy słabość, nie umiałem rozstrzygnąć, czy owo napieranie się ode mnie dwóch srebrnych cygarniczek ze strony Berkowicza było dowodem prostej jego niedelikatności, czy też dowodem "pociągu do srebrka", który u nas, w Polsce, wszystkim izraelitom, jako wrodzony, powszechnie zarzucają. Jest to dla mnie moralno-psychologiczne pytanie.

W tém miejscu miałem już zakończyć wspomnienia z mego pobytu w Sztutgardzie, spostrzegam się przecież, że byłbym pominął jedno, warte zanotowania, więc je notuję. W tym samym hotelu zum "Waldhorn", je-

dnocześnie ze mną, stanął także, ale tylko na jedną dobę przybywający z Drezna Antoni Gorecki, poeta. Nie chciał on się zatrzymywać i z nikim znajomości zabierać, bo jechał pod przybraném nazwiskiem, jako Francuz. Niezmiernie mu rad byłem, znając go z jego Bajek, z jego Krakowiaków, z jego Westchnień do Emmy w Karpatach, i bardzo go ceniąc jako patryotę za jego "Śmierć zdrajcy Ojczyzny", którą umiałem na pamięć i nieraz sobie lub młodym kolegom deklamowałem, będąc jeszcze w uniwersytecie.

Przez 30 blisko lat życia emigracyjnego nie miałem z Góreckim żadnych stósunków; dopiéro po r. 1860, kiedy już leżał chory w Maison municipale de santé, w Paryżu, gdzie téż wkrótce i umarł, poznaliśmy się bliżéj i byłem z nim aż do śmierci w pewnéj zażyłości, często go odwiedzając. Nie należał on wyłącznie do żadnego stronnictwa w Emigracyi, tylko za zjawieniem się w Paryżu, 1841 r. Andrzeja Towiańskiego, przylgnął był chwilowo do jego sekty. Mówię *chwilowo*, bo, gdy w początkach téj sekty, Adam Mickiewicz, *alter ego* mniemanego proroka, przedło-

żył sekciarzom, z pewnémi poprawkami, jakieś pismo, które im już było poprzednio ogłoszone jakoby podyktowane przez samego Boga, nasz Gorecki obarzył się na to, i oświadczywszy, że Bóg nie poprawia tego, co raz powiedział" zerwał z bałamutną, a raczéj, wobec patryotyzmu polskiego, występną sektą. Żył potém w kółku dawnych znajomych i przyjaciół, z którymi go stare zasady katolickie łączyły, nie przestając przytém hołdować Muzom, i wydając na świat, od czasu do czasu jakiś tomik swoich utworów. Nie był on jednak, przy końcu życia, prawowiernym katolikiem, w ścisłém tego słowa znaczeniu, i ultramontanie mogli go zwać heretykiem, bo heretykiem u nich jest każdy, kto nie wierzy, choćby tylko w jeden jakikolwiek przepis "Kościoła Bożego." Gorecki zaś nie we wszystkie wierzył; był mianowicie przeciwnikiem świeckiéj władzy papieża, i nie uznawał tak zwanego sakramentu pokuty, tj. spowiedzi. Pomiędzy innémi papiérami znajduje się niedrukowany (a mogę zaręczyć, że autentyczny) wiersz jego

do D^ra^ Seweryna Gałęzowskiego, w którym go prosi o pożyczenie mu kija na Księdza... gdyby go przyszedł spowiadać. Gdy zaś powstał zakon Zmartwychwstańców, złożony z początku z ludzi młodych, znanych niedawno przedtém z życia bardzo światowego, jeden z nich b. poseł Hajsyński, Alexander Jełowicki, zaczął się kręcić około Goreckiego, aby go na wiarę ultramontańską nawrócić.. Wskutku tego wywiązała się wkrótce pomiędzy nimi ostra polemika, którą Gorecki po większej części ogłosił w jednym z siedmiu tomików swoich ostatnich poetyckich utworów. Jełowicki za fundament wiary katolickiéj kładł, lubo przez Kościół wcale nieprzyjęte, i tylko przez Sobor Trydencki ułożone nowe *Credo*. Gorecki przeciwstawiał mu stare *Credo*, stare *Wierzę w Boga*, a nieobeznany należycie z historyą Kościoła, mocno przy swojém obstawał. Będąc już z nim w zażyłości, musiałem go objaśnić i historyą mu wykazać, że i on był w błędzie, że ów tak zwany *Skład apostolski*, był dziełem nie apostołów Jezusa, ale dziełem ojców Soboru Nicejskiego, w r. 325, na rozkaz cesarza Konstantyna, zwanego Wielkim, który tym sposobem z różnych sekt chrze-

ściańskich i pogaństwa ustanowił w swojém państwie
~~ustanowił~~ jeden Kościół powszechny — ἐκκλησία καθολικη ecclesia catholica — tj. w celu politycznym zaprowadził jedność
wiary religijnéj, religię Stanu. Tak ustanowiony
Kościół w granicach cesarstwa, powiedziałem dalej,
ogłosił się następnie powszechnym Kościołem na
cały świat, dzięki ciemnocie ludów, i za taki,
niestety, dotąd uchodzić nie przestał. Dziwił się
swojéj niewiadomości Gorecki, i dziękował mi za objaśnienia. Zdziwienie jego było jeszcze większe, gdym
dodał, że cesarz Konstantyn, którego Kościół Katolicki policzył w poczet świętych, i nazwał Wielkim, był wprzód okrutnym prześladowcą różnych
sekt chrześciańskich, że się zmazał mężobójstwem
we własnéj swojéj rodzinie, i nie umarł wyznawcą zaprowadzonéj przez siebie wiary, ale
aryaninem, tj. niewierzącym w Trójcę, ani w bóstwo Jezusa. Gdym mu to wszystko przełożył, rzekł
w końcu, jakby na swoję pociechę, zacny patryota:
„jednemu trudno wszystko wiedzieć, i widać, że każdemu
trzeba się do śmierci uczyć." I mógł tych zdań na-

swoję pociechę użyć, bo jeżeli one są stare i już pospolite, są niemniej prawdziwe i warte zawsze powtórzenia, zwłaszcza dla nauki czy przestrogi młodzieży skłonnej do zarozumiałości.

Ze Stuttgardu wyjechałem dyliżansem wprost do Karlsruh wraz z dr. Brawackim, którego wziąłem na swój koszt, bo mówił, że nie miał już pieniędzy. We dwóch trudno mi było udawać się do Heidelbergu dla zwiedzenia tamtejszego uniwersytetu i poznania lub przynajmniej usłyszenia z katedry sławnego wówczas profesora prawa Zachariae. Do Heidelbergu trzebaby było kilka czy kilkanaście mil zboczyć, i chęć zwiedzania uniwersytetów nie była już we mnie wielka. Zresztą, spodziewałem się, po drodze do Szwajcaryi, dokąd miałem paszport wizowany zwiedzić jeszcze jeden uniwersytet niemiecki w Fryburgu (w Bryzgowii). Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć mimochodem, że w Fryburgu osiadł później – jak ja go nazywam – nominat filozof Bronisław Trentowski, i był privat-docentem w tamtejszym uniwersytecie. Był on głośnym swego czasu

z wielu dzieł mniéj więcéj filozoficznych, w niemieckim i polskim języku. Ostatnie pod tytułem: "Panteon wiedzy ludzkiéj" miało bydź uwieńczeniem wszystkich; podług mnie przypomina ono tylko Włocha Pic de la Mirandole, z XV wieku, autora De omni re scibili et omnibus (aliis. (Itam) Demokrata Polski, w r. 1848, ogłosił w trzech artykułach charakterystykę Trentowskiego; szkoda tylko że to studyum niedokończone.

Karlsruhe

Za przybyciem do Karlsruhe, zostawiwszy Brawackiego w hotelu, poszedłem zaraz do Waltera, profesora w tamtejszém gimnazyum, do którego miałem list polecający od Gmelina z Tübingen. Profesor Walter przyjął mnie grzecznie i rozmawiał ze mną dość długo, ubolewając nad nieszczęśliwym losem Polski i tylu Polaków, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ zmuszonych szukać schronienia w obcych krajach. Mówił jednak chłodno, nie tak jak jego przyjaciel Gmelin, i nie pojmował należycie przyczyn naszego powstania, bo mi powtarzał, co mi już poprzednio niektórzy podobni mu legaliści, tu i ówdzie, mówili: "Bei uns soll alles auf dem gesetzlichen Wege geschehen."

Nie chciałem się z nim wdawać w dłuższą rozprawę, do jakiéj mogły być powodem ostatnie jego słowa, w których widziałem niejaką przymówkę naszemu powstaniu, a powtóre nie chciałem czasu tracić, nie mając zamiaru zatrzymywać się długo w stolicy W. Księstwa Badeńskiego. Wytłómaczyłem mu więc krótko i przyczyny i zamiar powstania. My Polacy — mówiłem — nie mogliśmy drogą legalną postępować; mieliśmy wprawdzie konstytucyę w téj części dawnéj Polski, którą Królestwem Polskiém nazwano, ale ta konstytucya była ciągle gwałcona, i zastępowała ją samowola brata carskiego W. Księcia Konstantego; na téj więc drodze nic wskórać nie mogliśmy. Powstało nie samo — dodałem — tak zwane Królestwo Polskie, ale w znacznéj części Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina, t.j. nierozdzielne części dawnéj Polski, które carowie pod swoje panowanie zagarnęli przemocą, i odzyskanémi prowincyami kłamliwie nazywają. Na okazanie mu, co było zamiarem powstania przytoczyłem mu, w ustném tłómaczeniu, zwrócone do Moskali wiersze gen. Lud. Kropińskiego:

Polacy nie chcą waszej dziedziny,
Ni waszej ziemi, ni waszej wody;
Lecz swoich granic Dniepru i Dźwiny
I swojéj polskiéj swobody!

Słuchał mnie i wysłuchał prawie w milczeniu flegmatyczny pedagog. Gdy zaś nie chciałem przeciągać rozmowy, i zabiérałem się do wyjścia, prosił, abym go nazajutrz jeszcze odwiedził. Gdy mu tego z pewnością przyrzec nie mogłem, tłómaczył się, że on do mnie, z powodu swych ciągłych zajęć, przyjśdź nie może, chyba późnym wieczorem. Na wszelki przypadek pożegnał mnie dość uprzejmie, nie szczędząc mi życzeń na dalszą podróż i szczęśliwy a rychły powrot do ojczyzny. Od niego to dowiedziałem się, że w Karlsruhe zawiązany już był Komitet na rzecz emigrantów polskich, udających się do Francyi, i że tego Komitetu prezesem jest baron von.... dyrektor generalny poczt w W. Księstwie Badeńskiém. (Nazwisko tego sympatycznego Niemca wyszło mi z pamięci, ale w moich papiérach znajduje się jeden czy dwa jego listy, pisane do mnie potém do Paryża.) Jakoż, gdym wrócił

do hotelu, powiedziano mi, że baron von … przysłał z zapytaniem, czy w nim nie ma przejeżdżających Polaków. Odpowiedziano, że jest dwóch, świeżo przybyłych: Janusch Wojna, warschauer Bürger i Dr. Johann Brawatzki, Kriegsarzt, i zawiadomiono nas o tém. Brawacki, lubiący zawsze bydź w ruchu, i nie spodziewając się, abyśmy mieli mieć wizytę, wyszedł na miasto, i zostawił mnie samego. Nie upłynęło pół godziny, po zapukaniu we drzwi i mojéj odpowiedzi: "Herein!", wszedł poważnym krokiem Herr General-Post-Director, oznajmując mi, kto jest. Był to mężczyzna miłéj postawy, średniego wzrostu i wieku, cieszący się oraz wybornem zdrowiem, jak to było widać z rumianéj jego twarzy bez zarostu. Zastawszy on mnie blisko drzwi stojącego, wyciągnął prawą rękę do mnie, ja mu podałem moję, i uścisnęliśmy się, jakby dawni znajomi. Przemówił do mnie naprzód po francusku, ale, gdy na jego piérwsze słowa po niemiecku odpowiedziałem — oznajmując mu zarazem, kto jestem — rozmawialiśmy z sobą, rzecz prosta, po niemiecku. Rozmowa

nasza toczyła się gładko, bo baron... był sympatyczniejszy niż prof. Walter, i pomimo, że miał wysokie stanowisko w rządzie wielkoksiążęcym, który, jak inne rządy niemieckie, ulegał wpływowi cara, okazywał nie samo tylko politowanie nad nieszczęśliwym losem wychodzców polskich (Flüchtlinge), ale podchwalał bezwarunkowo powstanie Listopadowe, i śmiało przede mną wynurzał nadzieję, że chociaż ono upadło, sprawa polska dlatego nie upadła. "Nein, mówił, Polen ist noch nicht verloren"...

Z całej z nim rozmowy, która się ciągła z godzinę a może i dłużej, poznałem, że to był nie tylko światły i szlachetnie myślący człowiek, ale także, iż znał nie źle, jak na cudzoziemca, wszystkie koleje, jakie Polska rozćwiertowana przechodziła od pierwszego rozbioru aż do powstania Listopadowego. Nareszcie, gdy nie przychodził Brawacki, z którym także chciał się widzieć, zapytał mnie, czy czego nie potrzebujemy i jak długo myślimy w Karlsruh zabawić. Podziękowałem mu za pier-

wsze zapytanie, oświadczając, że jakkolwiek oba nie jesteśmy zamożni, nie potrzebujemy niczego, a na drugie odpowiedziałem, że chcąc nieco wypocząć, a oraz poznać lepiej miasto tak pięknie zabudowane i zwiedzić bibliotekę wielkoksiążęcą, nie wyjedziemy zapewne aż pojutrze." Jeżeli tak, odrzekł, to zróbże mi Pan zaszczyt (machen Sie mir die Ehre), i przyjdź do mnie na objad ze swoim towarzyszem podróży. Ja, albo sam po was przyjdę, albo was wcześniej o godzinie objadowej uwiadomię; u mnie, z powodu moich obowiązków urzędowych, objad bywa raz wcześniej, drugi raz później; zwykle nad wieczorem."

Brawacki wrócił do hotelu późno wieczorem. Opowiedziałem mu, że w jego nieobecności był u nas baron.... z wizytą — człowiek bardzo uprzejmy i światły — i że nas obu zaprosił do siebie nazajutrz na objad. "Wszystko to dobrze, powiedział mi na to mój współpodróżnik, ale ja jestem już na jutro rano zaproszony do doktora.... z którym się przypadkiem poznałem, i te, oto, kilka godzin przepędziłem na pogawędce; muszę dotrzy-

mał słowa i bydź u niego, a jak długo zabawię, kto to wie? Będziemy znowu rozprawiali nie tylko już o Polsce i o powstaniu, ale i o cholera morbus, o której, widać, Eskulapy tutejsze nie mają wyobrażenia, a ja przecież tej epidemii badałem naturę w szpitalu cholerycznych, w obozie za Powązkami." Trudno go było odwodzić od dotrzymania słowa. Nazajutrz więc rano pozostałem sam jeden w hotelu; niedługo jednak doczekałem się posłańca z grzecznym biletem od barona, że objad będzie o tej a tej godzinie. To mi było na rękę; mogłem przedobiadowego czasu użyć podług własnej woli. Po śniadaniu tj. po napiciu się kawy w hotelu, wyszedłem też zaraz na miasto. Naprzód poszedłem na niedaleki plac przed pałacem wielkoksiążęcym, aby się przypatrzyć zblizka temu ostatniemu, i rozchodzącym się stamtąd, w kształcie rozwiniętego wachlarza, ulicom, wszystkim prościuteńko jakby pod sznurem wymierzonym. Istotnie, śliczna, stamtąd zdała mi perspektywa! Sam pałac wielkością

mnie nie zadziwił, był jednak okazały, i nie mógł nie zwracać na siebie uwagi każdego przechodnia. Nie zatrzymując się długo przed nim — bo znawcą architektury nie jestem — poszedłem do biblioteki, znajdującej się w jednym z pawilonów. Wpuszczono mnie bez żadnej trudności, gdym powiedział, że jestem podróżny — ein Reisende — i chcę ją zwiedzić. Przyjęto mnie, owszem, bardzo grzecznie: jeden z obecnych w pierwszej sali urzędników — może sam bibliotekarz, może kto inny, tego nie pamiętam — nastręczył mi się na przewodnika i oprowadzał mnie kolejno po wszystkich salach — a było ich kilka — bardzo porządnie i czysto utrzymywanych, bo na żadnej książce, której się dotknąłem, nie było ani jednego pyłku. Mój przewodnik pokazywał mi ~~niektóre~~ rzadkie wydania niektórych dawnych dzieł z literatury niemieckiej, różne zabytki starożytności i inne osobliwości złożone w tej wielkoksiążęcej bibliotece. Ale ja

z tego wszystkiego nic dziś nie pamiętam; pamiętam tylko dobrze, że tam z przyjemnością oglądałem bogaty zbiór rycin, mianowicie prześlicznych rycin anatomicznych, które zapewne, z większem jeszcze niż ja zajęciem, oglądałby był Brawacki, bo w gruncie był to człowiek niepospolitej nauki w swym zawodzie, chociaż tylko rzemiosłowo trudnił się sztuką lekarską. Gdym się zabierał do wyjścia, mój przewodnik prosił mnie, abym się wpisał do księgi, którą rozłożył przede mną, mówiąc, że wszyscy cudzoziemcy, zwiedzający bibliotekę wielkoksiążęcą, tak robią. Nie miałem powodu wymawiać się od tego, podpisałem więc: "Janusch Woyna, warschauer Bürger." Ujrzawszy on mój podpis zdziwił się widocznie, i spojrzał na mnie ciekawie; bo, jak mi zaraz wyznał, nie ~~ya~~ ~~deviąc~~ domyślał się, abym był Polak. To jego zdziwienie zdawało się jednak bydź oznaką pewnej życzliwości. Chciał bowiem zawiązać ze mną ~~[illegible]~~ [illegible] rozmowę o Polsce, ale mu się jakoś wymówiłem,

i pożegnawszy go grzecznie, odszedłem.

Wyszedłszy z biblioteki, przechodziłem się długo po główniejszych ulicach pięknego, ale jak na stolicę wielkoksiążęcą, nie wielkiego miasta, bo nie liczącego wówczas spełna i 30,000 mieszkańców. Byłem w jednej ~~czy~~ w dwóch większych kawiarniach, aby przerzucić dzienniki, i zobaczyć, czy (kawiarnia) takie jak w Dreźnie, Lipsku, Monachium i Sztutgardzie. W oknach niektórych księgarni widziałem karykatury, odnoszące się do naszego powstania, a chociaż nie wszystkie były udatne – bo Niemcy nie mają lekkiego dowcipu jak Francuzi – niemniej jednak świadczyły o sympatyi dla sprawy polskiej. Widziałem tam, między innémi, kosyniera golącego kosą, Dybicza; była to istotnie tylko kopia téj, jaka była wyszła w Warszawie, po bitwie Grochowskiéj. Nareszcie, kupiwszy sobie srebrną cygarnicę, w miejsce téj od pani Gmelin, którą, jak wyżéj powiedziałem, podarowałem był w Sztutgardzie Berkowiczowi, wróciłem do hotelu.

Gdy godzina objadowa u barona nadeszła, nie czekałem na Brawackiego, nie spodziewając się rychło jego powrotu, i poszedłem sam. Baron przyjął mnie otwartémi rękami, rad mi był bardzo, żałował tylko, że nie przyszedł mój Reisegefährte. Przedstawił mnie następnie dwom już dorosłymi dorodnym córkom, jasnym blondynkom, z niebiemi oczami, był bowiem wdowcem. Niebawem zasiedliśmy do stołu we czworo. Objad był wyśmienity, dań było kilka, wszystkiego było obficie i wszystko smaczne. Wino - rozumie się reńskie, smakowało mi lepiej niż w Sztutgardzie. Było w końcu i szampańskie, i mógłbym był łatwo miarę przebrać, gdybym się był nie miał na ostrożności, bo baron wciąż mi nalewał lub dolewał kieliszki, mówiąc raz i drugi poufale: "Man trinkt bei uns, wenn man isst." Choć łyżki, noże, widelce i kieliszki były w robocie, to nie przeszkadzało rozmowie barona ze mną, a mieszały się do niéj i obie panny, wypytując się o zwyczaje w polskiém życiu towarzyskiém. Rozmowa przeciągała się i po wypiciu kawy.

Baron chciał jeszcze wiedzieć niektóre szczegóły z powstania, o które mnie nie pytał poprzedniego wieczora. Odpowiadałem mu pokrótce na stawiane mi pytania. Następnie zwrócił rozmowę na ówczesny stan Francyi. Francya, mówił, okazała współczucie dla powstania polskiego; ma się to rozumieć, dodał zaraz, o ludności w ogóle — i przyjmie emigrantów zapewne gościnnie; ale rządowi Ludwika Filipa będziecie, Panowie, ciężarem (beschwerlich), a przynajmniej będzie on was uważał za niewygodnych sobie i niemiłych gości — (unbequeme und unangenehme Gäste). Daléj jeszcze, oceniał słabość tego rządu wewnątrz i nazewnątrz. Wewnątrz niepokoją go i podkopują, mówił, nieprzyjazne mu stronnictwa (feindliche Parteien); nazewnątrz zaś musi ulegać trzem północnym mocarstwom, aby pozyskać ich względy dla nowéj niejako dynastyi i pozwolić ustalić się jéj; nie możecie więc, Panowie — tak konkludował — spodziewać się po nim niczego dla dobra waszéj ojczyzny, jakkolwiek ma ona niezaprzeczone prawo do niepodległo-

ści." Z uwagą i z miłem poniekąd uczuciem słuchałem ~~prav~~ tych jego rozumowań, które musiały być równie szczére jak były śmiałe w ustach człowieka zajmującego niepośledniе stanowisko w rządzie jednego z satelitów tak zwanego Św. Przymierza tj. trzech naszych wrogów. Nie omieszkałem też dziękować mu uprzejmie i szczérze, biorąc sobie jego słowa za poufne i niejako przyjacielskie zwierzenia. Gdy już było póżno w wieczór i czas na mnie oddalić się, nie zapomniał baron, jako prezes komitetu, ponowić mi wczorajszego zapytania: czy ja lub mój kolega czego nie potrzebujemy, i to zapytanie niejednokrotnie powtórzył z nalega-niem, prosząc o otwartość: "Machen Sie keine Umstände." Córki prosiły także, abyśmy mianowicie coś z bielizny od nich przyjęli. Nie mogłem się zdecydować i nic, ani dla siebie, ani dla Bra-wackiego, nie chciałem przyjąć, dziękując za nas obudwóch i oświadczając, że znajdą się zapewne jeszcze w przejeżdzie potrzebniejsi

od nas rodacy, i że im wsparcie stósowniéj będzie mogło bydź udzielone. I baron i córki przestali wreszcie nalegać, pożegnałem się więc z nimi, jak mogłem najuprzejmiéj; oni, życzyli mi szczęśliwéj dalszéj podróży, dobrego zdrowia oraz rychłego powrotu do wolnéj i niepodległéj ojczyzny. "Nie zapomnij Pan tylko napisać do nas po niejakim czasie, i donieść, jak się Panu będzie powodziło; ja nie zaniedbam Panu odpisać" – Były ostatnie słowa barona.

W hotelu powiedziano mi zaraz, że był profesor Walter, i załował, iż się już ze mną nie będzie mógł widzieć. Brawackiego jeszcze nie zastałem; wkrótce jednak nadszedł. Opowiedzieliśmy sobie nawzajem, jak każdy czas przepędził. Brawacki, wyrachowańszy ode mnie, nie ganił mi wyraźnie, żem nic od barona czy od komitetu nie przyjął, rzekł jednak: "Lepiéj podobno było przyjąć, co dadź chciano, bo..." – "Może i masz racyę" wręcz mu przerwałem, nie chcąc słuchać dalszych jego uwag. Potém mówiliśmy już tylko, jakby

nazajutrz wcześnie wyjechać, i gdy nas kelner śmiało a nieco podniesionym głosem zapewnił, że możemy bydź o to spokojni; bo naprzód on nas obudzi o godzinie, o której zechcemy; bo, jak sobie życzyliśmy, landkutscher już ugodzony i będzie na nasze rozkazy, a z pryncypałem jego nie możemy też mieć długiego obrachunku — położyliśmy się spać. Woleliśmy czy musieliśmy jechać sami, we dwóch, podobno dlatego, że dyliżans tego dnia ku granicy Szwajcarskiej nie miał odchodzić. Nazajutrz wstaliśmy równo ze wschodem słońca. Zapytany przez nas hotelnik czy Gastwirth, odpowiedział z przyjaznym uśmiechem, że nic. "Jak to nic?" rzekłem na to. "Baron von .... wszystko za Panów zapłacił" odparł, uśmiechając się znowu, i dodał: "Landkutscher zapłacony także aż do Kehl." — "Pan baron bardzo łaskaw, przyznajemy to z wdzięcznością," odpowiedzieliśmy zgodnie na to wszystko. Pozostawało nam więc tylko pożegnać się z grzecznym hotelnikiem i dadź niejako obowiązkowy Trinkgeld

kelnerowi, co też uczyniliśmy, po wypiciu jeszcze kawy. Niebawem zajechał landkutscher, i ruszyliśmy dalej w drogę. Że nam baron zapłacił furmankę tylko do Kehl, to dlatego, muszę tu nadmienić, iż mu powiedziałem, że lubo miałem paszport do Szwajcaryi, będę się musiał w Kehl zatrzymać dla zniesienia się w Strasburgu z bawiącym tam – podług świeżego doniesienia w dziennikach – agentem Komitetu polskiego w Paryżu.

Kehl

Chociaż tęgi był mróz, a raczej może dlatego, oraz że konie były dobre, jechaliśmy raźno, i ściągnęliśmy do Kehl na noc. W porządnym hotelu czy hoteliku przenocowaliśmy wygodnie i zatanie pieniądze. Nazajutrz, po śniadaniu, przemyśliwaliśmy, jakby się przez Ren do Strasburga dostać z powodu, że jeszcze w Dreźnie miałem paszport wizowany nie do Francyi lecz do Szwajcaryi, ~~xx~~ mianowicie do Genewy. Jeszcze bowiem w Dreźnie dowiedziałem się był z dzienników, o zawiązaniu w Paryżu polskiego Komitetu narodowego pod prezydencyą J. Lelewela a oraz o

tém, że rząd francuski nie chce wpuszczać do stolicy emigrantów polskich, i kieruje ich do Besançon (Doubs) i do Avignon (Vaucluse). Z wielu powodów nie mogło być moiém życzeniem udawać się do jednego z tych miast prowincyalnych, z Genewy zaś spodziewałem się dostać łatwo do Paryża, po znieśieniu się listownie z Lelewelem. Teraz zmieniłem me zdanie, gdy agent Komitetu narodowego był w Strasburgu; chciałem się téż koniecznie z nim widzieć, w przypuszczeniu, że mi poda sposób dostania się wprost do Paryża, zamiast udawania się do niego dalszą i przykrą, wśród zimy, drogą przez góry szwajcarskie pełne śniegów. Brawacki, chociaż miał paszport wizowany do Francyi, nie mogąc jednak za nim udać się do Paryża, był w tym samym, co ja, kłopocie. Sami jedni nie chcieliśmy przechodzić mostu na Renie, którego strzegły z prawéj strony badeńskie, a z lewéj francuskie warty i celnicy. Poradzono nam wziąć przewodnika, i nastrę-

czono na takowego jakiegoś golibrody, znanego dobrze jednym i drugim celnikom. Ten podjął się przeprowadzić nas za 2 fr. Jakoż przeprowadził szczęśliwie, przedstawiwszy nas podobno za swych współziomków czy współobywateli — Landsleute czy Mitbürger —. Sam rozmawiał z celnikami, którzy go, może tylko dla formy — obrewidowali, czy jakiego towaru zakazanego, (np. tytoniu) nie przenosił, a nas wolno przepuścili, nie odezwawszy się do nas ani słowa. — Niedaleko za mostem przechodziliśmy około pomnika sławnego generała Desaix, który zginął pod Marengo 1800 r. a potém, pod cytadelą, obok wielu pieszych żołnierzy, podrygających od zimna, wszystkich małego wzrostu i młodych, i którzy tylko tém właśnie jako téż czérwonémi spodniami zwrócili na siebie naszę uwagę. Brawacki mówił, że w r. 1812 widział wojsko francuskie na Litwie, ale ja, mając wówczas lat 9, widziałem tylko jednego niedobitka w łachmanach wracającego z pod Moskwy, wśród

nadzwyczaj ostréj zimy; nie mogłem mieć wprzód wyobrażenia, ani o umunderowaniu, ani o postawie francuskiego żołnierza.

Strasburg. Za przybyciem do miasta, chcieliśmy się dowiedzieć naprzód adres agenta Komitetu polskiego w Paryżu. Wiedzieliśmy już z gazet, że się zwał Konstanty Zaleski, ale w mieście, liczącém wówczas 50,000 mieszkańców (dziś Strasburg ma podobno drugie tyle ludności) mogła tylko wiedzieć jego adres: albo policya, albo redakcya którego z dzienników, a tych było kilka. Do policyi nie chciałem się udawać ani ja, ani Brawacki. Bez wielkiego namysłu poszedłem ja sam do redakcyi znanego mi już z tytułu dziennika: "Le Courrier du Bas-Rhin". Jakoż powiedziano mi tam, że kapitan Konstanty Zaleski mieszka w hotelu: "Au Vigneron."

Wskazany adres Zaleskiego był dobry. Gdyśmy tam zaszli, nie zastaliśmy wprawdzie samego Zaleskiego, ale tylko – z niemałém naszém zdziwieniem

a oraz z przyjemnością — już tyle razy wspominanego Wincentego Cyprysińskiego, który był z Branwackim i w dawniejszéj i w większéj niż ja zażyłości. Oba byli sobie bardzo radzi. Mnie także Załeski, gdy nadszedł, był bardzo rad. Był ten Żmudzin w moim wieku, dobrego jak ja, wzrostu, i z twarzy wcale przystojny; mówił po francusku i — lubo mniéj biegle — także po niemiecku; zalecał się téż i tém, że miał grosze, będąc z siebie majętnym, jak się później pokazało. Nadawał on się bardzo dobrze na agenta Komitetu. Cyprysiński zaś — nadówczas wielki zwolennik Lelewela — przy swéj pojednawczéj wymowie, był mu istotnie pomocą w stósunkach z przejeżdżającymi naszymi wojskowymi, którzy z pogadanek obozowych wynieśli różne uprzedzenia przeciw Lelewelowi, i dlatego Komitetu Narodowego uznawać nie chcieli. Większość wojskowych emigrantów wolałaby była widzieć na czele Komitetu Księcia Czartoryskiego lub którego z panów generałów, niż okrzyczanego w obozach byłego pre-

ze, a Towarzystwa patryotycznego, czy-jak często mówiono, Klubu. Cyprysiński usiłował łagodzić umysły, wszystkich jednak — zwłaszcza starszych — nie przekonał, i Komitetowi nie zjednał.

Zarzucany różnemi zapytaniami przez jednego i przez drugiego, nim na wszystkie odpowiedziałem, prosiłem ich, aby mi wprzód powiedzieli, czy ja się, pomimo zakazu rządu, nie będę mógł dostać do Paryża. Odpowiedzieli jednozgodnie, że to da się zrobić, i że o to mogę bydź spokojny; że jednak o wyjeździe zaraz do Paryża nie powinienem myśleć z powodu, iż Komitet chce właśnie teraz wysłać kogoś do Niemiec, a ja, jako mówiący po niemiecku oraz jako mający już w Niemczech pewne stosunki, kwalikuję się zupełnie do tej misyi, i będę niezawodnie, jeżeli zechcę, przez Komitet na powrót za Ren wysłany; trzeba mi tylko kilka dni zaczekać na odpowiedź Komitetu, do którego oni w tym celu niezwłocznie napiszą. Lecz nie było wcale po mojéj myśli, i nie przypuszczałem, aby Komitet a mianowicie Lelewel chciał się wy-

rażnie mieszać w obce sprawy, usłuchałem ich rady. Jakoż, napisali oni zaraz do Komitetu, a ja, zdecydowany czekać, sprowadziłem sobie z Brawackim nasze rzeczy z Kehl. W Strasburgu, prócz Zaleskiego i Cyprysińskiego, było tylko kilku innych Polaków, a między nimi generał Franciszek Sznajde, dowódzca karabinierów z korpusu Ramorinę. Ale i inni, małémi kupkami, zaczynali już z Prus nadciągać, i nie bawiąc długo a raczéj nie zatrzymując się prawie, udawali się w głąb Francyi, do miast przeznaczonych im na miejsce pobytu. Mnie policya nie niepokoiła, dzięki wpływom, jakie sobie Zaleski odrazu wyrobił. Przechadzałem się téż z nim swobodnie po mieście, i zwiedzał niektóre osobliwości, jak starożytną i sławną z wysokiéj wieży katedrę; ale na wieżę, przez wszystkich ciekawie zwiedzaną, nie wyłaziłem, głównie dla mglistego ciągle i śnieżnemi chmurami ciężarnego powietrza. Stołowałem się za tanie pieniądze w hotelu wraz z Zaleskim i Cyprysińskim, gdzie się także stołował

generał Franciszek Sznajde i Haro Haring (czy Harro Haring), redaktor wychodzącego tam od niedawna dziennika "Deutschland". Ten ostatni służył przed naszém powstaniem w wojsku rosyjskiém, podobno w kanonierach, i stał ze swym pułkiem w Warszawie. Opuściwszy tę służbę nienadługo przed powstaniem, i będąc już za granicą, ogłosił on pamiętniki o Polsce, w których okazał, jeżeli nie wielki talent pisarski, wielkie współczucie dla sprawy polskiéj, a swą nienawiść do Moskali i ich rządów w Polsce, a mianowicie do Nowosilcowa, którego wystawił po prostu jako pijanicę i rozpustnika. Był on rodem z Fryzyi, i tém się, nie wiem dlaczego, chlubił, podpisując się Haro Haring, Friesländer. Był to mężczyzna, jak na byłego kawalerzystę, bardzo niskiego wzrostu, ale natomiast bardzo czupurny i obraźliwy. Dlatego i w poufnéj z nim rozmowie trzeba było bydź ostrożnym, aby go nie obrazić i uniknąć tego, co się zowie po francusku: "une querelle d'Allemand." Lubił żartować, ale sam i lekkich żartów nie przyjmował. Tacy

ludzie nie mogą bydź w towarzystwie pożądani, jakiekolwiek skądinąd byłyby ich zalety.

Wieczorami bywaliśmy w wielkiéj Kawiarni "Au miroir." bo się tam głównie zbiérała biédna Polonia, nadciągająca z północy, jak żórawie przed zimą, coraz gęstszémi stadami. Wszystko tam było smaczne, niedrogie i usługa prędka a chętna, bo i garsoni – mówiący lepiéj po francusku i po niemiecku niż prosty lud alzacki – oświadczali się każdemu ze swémi sympatyami dla sprawy polskiéj. Byłem jednak z Zaleskim, podczas mego krótkiego pobytu w tém już dziś nie francuskiém mieście, i na kilku wieczorach w domach zamożniejszych mieszczan. Wszędzie byliśmy uprzejmie przyjmowani.

Gdy upłynęło z 10 czy ze 12 dni, nadeszła i odpowiedź Lelewela w imieniu Komitetu. Wskutku téj odpowiedzi zajął się zaraz Zaleski wyrobieniem mi paszportu do Paryża na imię jakiego Alzaczyka przez redaktorów dziennika Le Courrier du Bas-Rhin, z którymi – jak i

- z innémi jeszcze osobami — nieradził mi zabiérać znajomości, mówiąc, iż będzie lepiéj że mało komu w Strasburgu będę znany, gdybym napowrót miał być wysłany do Niemiec. Jakoż za pośrednictwem tych panów, wyrobił oni mi paszport na imię Charles Schneider, clerc de notaire.

Tymczasem coraz nowe kolumny emigrantów nadciągały. Wielu było takich, co się do piéro przypisywali do mnie, znając mnie tylko z nazwiska, albo nie wiele z lat młodszych; ale byli i tacy, co, tak przed powstaniem jak wczasie powstania, znali się ze mną osobiście i z bliska. Z liczby tych ostatnich był Karol Królikowski, późniejszy księgarz w Paryżu, o którym już w tych notatkach wspominałem, i jeszcze może nie raz wspomnę. Nie chciał on także udawać się do żadnego miasta na prowincyi, ale dostać się do Paryża. Tak więc nalegał na mnie, tak mnie prosił i błagał, abym go z sobą zabrał, iż mu nie mogłem odmówić

tej usługi, za którą — jak i za wiele innych, dawniej mu wyświadczonych — niekoniecznie dobrze miał mi się potém odwdzięczyć. (Nb. Królikowski niedomagał od pary czy kilku miesięcy, i ze swej słabości tylko w Paryżu spodziewał się rychło i radykalnie wyléczyć.) Zamiast starać się o wyrobienie dla niego podobnego jak dla mnie paszportu, poradzono mi pomówić o tém z konduktorem mającego odchodzić nazajutrz do Paryża dyliżansu. Konduktor ten, jakiś poczciwy człowiek, gdym mu rzecz przedstawił, odpowiedział mi, nie stawiając żadnej trudności, iż to da się w ten sposób zrobić, że ja będę siedział z nim na wierzchu dyliżansu, ukryty w budzie, i tylko będę musiał schodzić przed miastami, w których się dyliżans zatrzymuje, i, po przejściu ich pieszo, wsiadać znowu napowrot, gdy dyliżans będzie poza ich obrębem; memu zaś Koledze (Królikowskiemu) będę musiał oddać mój paszport, który dosyć mu będzie okazać żandarmom, ile razy go się oń zapytają. Chociaż ten pan — dodał poczciwy

konduktor – nie rozumie po francusku, to nic nie znaczy, bo gdy podróżny ma paszport w przepisanej formie (en règle), żandarmi nie pytają go o nic.

Tak więc, zabawiwszy w Strasburgu dwa tygodnie, jechałem wprost do Paryża, i rad byłem z tego, że nie potrzebowałem jechać na Szwajcaryę; żałowałem tylko listów polecających (z Niemiec) do kilku literatów w Genewie i redakcyi wychodzącej tam wówczas Bibliothèque Universelle, które, przez moję nieostrożność, wpadły mi z wielkim pugilaresem z trzeciego piętra w Strasburgu – że się wyrażę poufnie – w loca secreta, a chociaż mi je stamtąd za 20 fr. wydobyto, nie mogłem ich już nawet na pamiątkę zachować. W drodze nie miałem żadnego przypadku prócz tego, że w Nancy o mało w ręce żandarmom nie wpadłem. Przechodząc bowiem pieszo przez to miasto, spotkałem znajomego mi majora Lipskiego z 9 pułku p. l. który przybywał z Metz i jechał do Besançon, stósownie do rozporządzenia

rządowego. Ten, aby się ze mną razem napić czegoś gorącego, bo to było bardzo rano — słońce zaledwie wschodziło, i mróz był tęgi, — wciągnął mnie do hotelu, w którym stanął. Wtém weszło dwóch żandarmów, i zaczęło się wypytywać o podróżnych. Spostrzegły ich wcześnie w pierwszéj sali, wymknąłem im się szczęśliwie, bo były na ulicę inne drzwi od tych, któremi oni weszli. Niepodobna mi już było czekać na zakomenderowany ~~xxx~~ gorący trunek, i Lipskiego pożegnałem bądź samém tylko uściśnieniem mu ręki, i słowem: "Adieu!" Po téj przygodzie nie chciało mi się bawić w środku (chociaż wiedziałem, że dyliżans miał się zatrzymać jeszcze z półgodziny) miasta i rozpatrzyć w niém cokolwiek; widziałem tylko, i to z daleka, posąg Stanisława Leszczyńskiego. Dopiéro przy samym końcu miasta wstąpiłem do kawiarni, i napiwszy się tam kawy, podążyłem na pobliskie za miastem wzgórze, na trakcie paryskim, czekać tam na dyliżans, który téż niezadługo nadszedł.

Paryż

Po nużącéj, przez dwa dni i jedną noc, podróży w dyliżansie, przybyłem z Królikowskim do upragnionego

Paryża, 22 Stycznia 1832 r. Pomimo zakazu rządu, ściągnęło tam już było wielu rodaków przez Belgię lub z Anglii. Lelewel stał w niepozornym wcale hotelu pod N^{ro} 8, przy małej uliczce des Cordiers, blisko Panteonu. Stali tam już z nim: Adam Gurowski (z młodszym swoim bratem Bolesławem), Tadeusz Krępowiecki, Antoni Hłuszniewicz, członkowie Komitetu, i podskarbi Karol Edward Wodziński; dalej L. A. Pułaski, Wojciech Kazimirski, Jan Czyński, Bartłomiej Beniowski i podobno jeszcze inni. Tam się zakwaterowałem; tam też umieścił się tymczasowo Królikowski. Niebawem zobaczyłem się z Lelewelem, i chciałem mu dadź do przeczytania odebrane w Strasburgu od Lohbauera ze Sztutgardu listy, w których mi tenże donosił, iż tam gotowość do powstania była ogólna, tylko nikt nie kwalifikował się na głównego dowódzcę, i że pożądaną byłoby rzeczą, gdyby tam przybył który z generałów polskich, np. Ramorino, i stanął na czele. (Gorący patryota

niemiecki nie uwierzył był, widać, temu, com mu o Ramorinie powiedział.) Lelewel, gdym mu krótko treść listów wyłożył, kiwnął głową, i zwyczajem swoim wzruszył ramionami, a oddając mi listy, rzekł: "Rozważymy to i pomówimy o tém." Czy to potém sam lub z kim innym rozważał, nie wiem; ale ze mną o wyprawieniu mnie do Niemiec wcale nie mówił; ja go téż o to wcale nie zapytywałem, bo, po rozmyśle, nie miałem żadnéj ochoty mieszać się czynnie do spodziewanego powstania w środkowych Niemczech, chociaż tego powstania nie mogłem sobie nie życzyć. Widać, że Zaleski i Cyprysiński przypisywali Komitetowi i jego prezesowi zamiary, których nie miał ani jeden, ani drugi.

Stołować się we wspomnianym hotelu nie można było; bo nie było tam traktyerni; prócz kawy, herbaty i niektórych trunków, nic tam do zjedzenia na miejscu lokatorowie dostać nie mogli, był to więc właściwie tylko dom z mieszkaniami do wynajęcia, to, co Francuzi oznaczają ściśléj nazwą: "maison meublée".

Na śniadanie też około 10 lub 11 z rana, a na objad
między 4 a 6 godziną po południu trzeba by-
ło gdzieindziej chodzić. Chodziliśmy zaś wszy-
scy wyżej wymienieni dość daleko, na prawy brzeg
Sekwany, tuż za Pont-Neuf, na małą i ciasną, a
dziś podobno już nie istniejącą uliczkę "Tirchapé"
pod № 7. Trzymał tam restauracyę jakiś Nie-
miec, i wszystko tam nie było drogie, nawet
względnie do ówczesnej taniości. Amatorowie
surowej kapusty lub gotowanej z kiełbasą mogli
się tam uraczyć, jednak ani kapusta, ani kieł-
basa u tego Niemca, nie były tak smaczne jak
u nas w Polsce. Zwyczajna porcya mięsnej
potrawy kosztowała tam 6 sous czyli 30 cen-
times tj. 15 groszy polskich, chleba każdy miał
tyle, ile chciał — "à discretion." (Na napitek było piwo lub wino, do wyboru; piwo tańsze niż gdzieindziej) Wielu tylko z naszych
braci nie mogło się przyzwyczaić do jednej po-
trawy, do nóżek baranich — "pieds de mouton —
z białym, zawiesistym sosem, która tam w spisie
potraw — "le menu" — zawsze figurowała. Nie jeden
okazywał do niej odrazę, mówiąc: "Alեż to

daje się tylko chartom lub innym psom myśliwskim nie ludziom do jedzenia." – i nie dał sobie o nóżkach baranich garsonowi wspominać. Poźniéj jednak i takich delikacików żołądki a raczéj podniebienia przyzwyczaiły się do téj jakoby podłéj strawy – vile pabulum – i byli tacy potém z pomiędzy tych samych ichmościów co jéj sobie podwojne porcye kazali dawać. Ci, co nie dopuszczali się jednego z siedmiu grzechów głównych – według przykazań Katolickiego kościoła – wydawali na objad około 1 franka lub mało co więcéj. Przeciwnicy Komitetu i Lelewela, a było ich już nie mało rozmaitéj barwy od 8 Grudnia tj. od czasu jak pierwszy Komitet pod Bonawenturą Niemojowskim został zwalony, a na jego miejscu ten postawiony pod wyżéj wyżna, nazwą Komitetu Narodowego Polskiego i pod prezydencyą Lelewela – ci, mówię, przeciwnicy – M. Mochnacki grał pomiędzy nimi niemałą rolę – wymyślali różne rzeczy na uczęszczających do będącéj w mowie traktyerni, a między innémi rozgłaszali

że Lelewel po objedzie w Tirchape chodził na drugi smaczniejszy i droższy do Palais-Royal, au mille colonnes, i że go tam regularnie wieczorem widywano. Mało komu chciało się to sprawdzać, i dlatego w pewnych kółkach dawano temu wiarę; ale nikt ze sumiennych ludzi, choćby i z politycznych nieprzyjaciół Lelewela, kto znał skromne jego życie, nie mógł mu robić podobnego zarzutu, i uważał to, jak w samej rzeczy było, za prostą rozmyślną potwarz. Tak samo należało sądzić o innych podobnych bajkach i bajeczkach.

W pierwszych zaraz dniach, po moim przyjeździe do Paryża, poznałem się bliżej z niektórymi Francuzami ze stronnictwa republikanckiego, zwanego wówczas także rewolucyjnem. Wypadało mi pójść naprzód do młodego doktora medycyny Napoleona Lebon (czy Le Bon), który stał w uczęszczanym później przez Polaków hotelu Corneille, przy ulicy tego nazwiska, pod Odeonem. Był to syn czy synowiec głośnego, za pierwszej rewo-

lucyi francuskiej, konwencyonisty Lebon (czy Le Bon), którego charakter i postępowanie miały bydź w sprzeczności z jego nazwiskiem, i który zginął pod gilotyną w r. 1795. Pod adresem Zbawiem tego doktora Lebon miałem ~~list~~ do Franciszka Wincentego Raspail pilne listy od adwokata Lichtenbergera ze Strasburga. Raspail był wówczas prezesem republikanckiego towarzystwa pod nazwą przyjaciół ludu (des amis du peuple), a Lichtenberger, zdaje się, także prezesem oddziału tego samego towarzystwa w Strasburgu. Oba, mając już nieco rozgłośne imiona, byli, jako republikanie, źle od władz rządowych widziani, nawzajem też żadnej z nich, a więc i administracyi poczt nie ufali, i uważali za rzecz roztropną pisywać do siebie najczęściej, o ile można było, prywatną drogą. Dr. Lebon, odpieczętowawszy adresowany do siebie pakiet, i zatrzymawszy co było (wprost) do niego pisane, oddał mi list do Raspaila, i wskazał jego adres, po krótkiej ze mną rozmowie. Raspail mieszkał wówczas pod № 4, przy zaczynającej

się dopiero zabudowywać ulicy d'Ulm, niedaleko za Panteonem, w stronie ku wojskowemu szpitalowi Val-de-Grâce. Poszedłem tam niebawem, lecz go nie zastałem, a przynajmniéj tak mi powiedziała dość skromnie ubrana kobieta, którą wziąłem za służącą. Poszedłem drugi raz, i znowu nie lepszą odpowiedź dała mi ta sama osoba. Raspail był, istotnie, pod dozorem policyi, ale za daleko posuwał swą podejrzliwość; wyrzucali mu to nawet jego przyjaciele, mówiąc, że on w każdym, co koło niego przechodzi, i na niego spogląda, widzi szpiega policyjnego, mouchard. Widać, że i mnie po dwa razy brał za tajnego agenta policyi. I za trzecim razem chciała mnie jeszcze ta sama osoba — a była to żona uczonego chemika i filozofa — z niczém odprawić; lecz, gdy się już miałem do odwrotu, wlepiła wzrok we mnie, i zapytała: "Mais qui êtes-vous, Monsieur?" — "Je suis Polonais, Madame," odpowiedziałem jéj — "et je désire absolument parler à Mr. Raspail; j'ai une lettre à remettre à lui-même." — "Entrez, s'il vous plaît," było jéj odpowiedzią, i po-

prosiła mnie do drugiego pokoiku. (Raspail, który — lubo prawie połowę długiego swego życia spędził w więzieniach i na wygnaniu — przyszedł potém, dzięki swéj popularnéj metodzie leczenia, do trzykroć czy czterykroć milionowego majątku, nie miał wówczas ani służącego, ani służącéj, ani kucharki. Żona jego, sama jedna, pełniła te wszystkie rodzaje służby, mając tylko do pomocy — jak się później dowiedziałem — przychodzącą, zrana, na parę godzin kobiétę, tak zwaną <u>femme de ménage</u>.) Raspail siedział tam przy stoliku, i gdy mu żona, wprowadzając mnie, powiedziała: "Monsieur est Polonais", cofnęła się zaraz do pierwszego pokoju, a on, podniósłszy się z krzesła, rzekł do mnie: "Soyez le bienvenu", i prosił mnie siedzieć. Po odczytaniu listu, który mu oddałem, i z którego zdawał się być kontent, wszczął ze mną rozmowę, i zatrzymał mnie u siebie dość długo. Pamiętam pierwsze jego słowa potém były słowa zadziwienia: Ah! vous êtes Polonais, a daléj zapewniał mnie tak o swojéj dla sprawy polskiéj sympatyi w szczegól-

ności, jak w ogóle o sympatyi młodzieży i ludu francuskiego. Francya lipcowa widziała, podług niego, w Polakach bohatérów wolności i swych braci północnych. (Rozumie się, iż mu już byłem powiedział, kto jestem, i dał poznać mój sposób myślenia.) Raspail mówił płynnie i z zapałem. Był to mężczyzna wyższego nieco od średniego wzrostu, czoło miał wysokie, twarz świéżą, włosy jasne blond, oko wielkie niebieskie, lat zapewne jeszcze nie spełna 40, bo był tylko o kilka ode mnie starszy, a ja byłem w 29 roku. W rozmowie nie taił niechęci do króla Ludwika Filipa, którego zwał po prostu wdziercą — "intrus" — i do generała Lafayetta, który swą, niezasłużoną, jak mówił, popularnością potrafił wyzyskać tryumf ludu nad starszą linią Burbonów na korzyść młodszej linii. Filipowi jednak nie wróżył długiego panowania; dowodził, że we Francyi panowała pomiędzy ludem roboczym niechęć do nowego porządku rzeczy,

i nie wiele brakowało, aby po wielu większych miastach wybuchła tak groźnem powstaniem, jak świeżo w Lyonie, gdzie powstańcy-robotnicy fabryczni mieli za hasło: "Żyć wolnymi lub polegać w walce" (Vivre libres ou mourir en combattant. Wypytywał mnie też, jaki duch istotnie panował w Niemczech, poza Renem, i czy tam można się było rewolucyi spodziewać. Wreszcie, po dość długiej rozmowie, zapewniając mnie jeszcze raz o swem dla sprawy polskiej i Polaków współczuciu, dał mi bilet na posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Ludu, odbywające się, pod jego prezydencyą, przy ulicy Grenelle St Honoré, N° 45, na prawym brzegu Sekwany. Uczęszczałem tam, ale niedługo, bo po kilkunastu, a może tylko po kilku posiedzeniach, na których rząd a mianowicie ministeryum pod prezydencyą Guizot'a, mocno były atakowane, wytoczono temu towarzystwu proces, zakończony wyrokiem, nakazującym jego rozwiązanie, a skazującym

Raspaila na więzienie; na jak długo, nie pamiętam. Na tych ostatnich posiedzeniach Tow= Przyjaciół Ludu — które się wciąż tak powiększało, iż sala posiedzeń, acz bardzo obszérna, nie mogłaby była wszystkich członków pomieścić, gdyby się byli wszyscy razem zebrali — na tych, mówię, posiedzeniach zabierał często głos Godefroi Cavaignac, i piorunował przeciw Guizotowi. Wnet się z nim zaznajomiłem przez Raspaila. Był on starszym bratem późniejszego generała Eugeniusza Cavaignac, i lubo zmarły przed r. 1848, swémi zasługami w stronnictwie republikańskiém utorował mu drogę do najwyższej chwilowo władzy w drugiej rzeczypospolitéj; bo ten po wybuchu nieszczęsnego powstania czérwcowego (w r. 1848) został naczelnikiem władzy wykonawczéj (chef du pouvoir exécutif), i przytłumił wprawdzie to powstanie, ale w sposób tak krwawy, iż go potém lud znienawidził tak w Paryżu jak po departamentach, mówię lud prawdziwy, nie mieszczaństwo. Słyszałem nie raz potém, jak go pogardliwie nazywano łbem końskim (tête de cheval) z powodu,

iż miał twarz pociągłą i czerniawą.

Ponieważ coraz bardziéj powątpiewam, abym we właściwém miejscu i czasie mógł jeszcze w tych Notatkach o Raspailu mówić – bo, podług wszelkiego podobieństwa, przyjdzie mi je na dobre przerwać i niedokończyć ich – wolę tu opowiedzieć nieco szczegółowo moje dalsze z nim stosunki.

Gdy w r. 1836, rząd francuski powziął wiadomość o treści mającego wyjśdź (4 Grud. t.r.) manifestu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, pozwolił go wydadź po polsku, ale nie po francusku. Oznajmił to Centralizacyi Tow=a tj. naczelnéj jego instytucyi, która była w Poitiers, prefekt departamentu de la Vienne, Alexis de Jussieu. To zakłopotało niepomału Centralizacyę, która rzeczony manifest zaprojektowała, i do skutku doprowadziła, i któréj ja byłem członkiem. Trzeba się było do woli czy nakazu rządu zastósować, bo wszelki opór w tym względzie mógł pociągnąć za sobą rozwiązanie towarzystwa,

rzeczywiście tylko tolerowanego, Francuzom bowiem towarzystw politycznych niewolno było zawiązywać. Musieliśmy się więc narazie ograniczyć na wydaniu owego manifestu w trzech tłómaczeniach: w angielskiém, niemieckiém i włoskiém, po ogłoszeniu go w polskim języku, nie przestając jednak przemyśliwać, jakby go wydadź po francusku. Do tego należało użyć kogoś z przychylnych sprawie polskiéj i znanych już publicystów francuskich. Upłynęło dużo czasu na namyśle, do kogo się udadź. Nareszcie, ~~w początkach~~ na wiosnę 1839 roku, nie będąc już w Poitiers, poradziłem nowéj Centralizacyi udadź się do Raspaila, i udaliśmy się do niego w tym względzie. Raspail zajął już był, w ~~latach poprzednich~~ r. 1834 wybitne stanowisko pomiędzy publicystami francuskimi, jako ~~naczelny~~ redaktor radykalnego dziennika Le Reformateur, na którego założenie i wydawanie dostarczył funduszu jego przyjaciel b. Kapitan Kersosie, jeden z bohatérów lipcowych, a także przyjaciel sprawy polskiéj. Raspail podjął się

chętnie zadośćuczynić naszemu życzeniu w broszurze sprawie polskiéj poświęconéj, z warunkiem, że Towarzystwo koszta druku poniesie. Nie mogliśmy nato nie przystać, boć nie wypadało wymagać po nim pieniężnéj ofiary, zwłaszcza, że wiedzieliśmy, iż wówczas nie miał majątku, a może jeszcze i nie myślał go robić. W skutku téj umowy Centr^a^ zebrała potrzebne do zamierzonéj broszury materyały, po polsku i przysłała mi je na wieś — w departamencie de l'Yonne — gdzie byłem nauczycielem domowym u zamożnego republikanina, a ja, przełożone na francuskie, przesłałem potém Raspailowi, wraz z własnémi dodatkami i manifestem, a w tłómaczeniu francuskiém już należycie opracowaném, do druku gotowym. Raspail przyrzekł był wygotować rękopism na 15 Sierpnia. A że to był czas wakacyj, i ja mogłem się na parę lub więcéj tygodni od obowiązków uwolnić, a z drugiéj strony, mając na uwadze, że Francuzi rzadko kiedy polskie rzeczy dobrze rozumieją, że więc i Raspail mógłby niechcący niejednę rzecz opacznie przedstawić,

napisałem do Cłki, że gotów jestem pojechać do Paryża, i poprosić Raspaila o odczytanie mi wprzód rękopismu, nim go odda do druku. Cłka, będąc tego samego zdania, przyklasnęła memu zamiarowi. Gdym jednak przybył do Paryża na wyznaczony termin, tj. 15 Sierpnia, i poszedł do Raspaila z byłym jak ja, członkiem Cłki, Henrykiem Jakubowskim, który mieszkał w Paryżu, ten nam oświadczył, że chętnie zgadza się na odczytanie nam rękopismu i narobienie mu uwag, jakiebyśmy za potrzebne uznali, ale że rękopismu jeszcze nie wygotował, i ledwo go pisać napoczął. Prosił więc o odwłokę dwóch tygodni, tj. do końca miesiąca. Rzecz prosta, wypadało nam na to przystać, nie dając mu bynajmniej poznać, że ta odwłoka niekoniecznie była po naszéj myśli. Że ja zaś miałem parę set franków, i mogłem mieć więcéj, bo u brata jegomości, u którego byłem domowym nauczycielem, mieszkającego w Paryżu i będącego bankierem, miałem otwarty kredyt, poradziliśmy sobie, tj ja i Jakubowski, i przyjemnie zażyliśmy czasu aż do końca miesiąca Sierpnia. Poje-

chaliśmy we dwóch statkiem parowym — kolei żelaznéj w téj stronie Francyi jeszcze wówczas nie było — do Rouen i do Hawru, nie tyle dla zwiedzenia tych miast lub ich okolic, ile dla poznania osobiście znanych nam już z nazwisk braci demokratów, bo w jedném jak w drugiém mieście była sekcya Tow^{wa} Demokratycznego, każda złożona z kilkudziesięciu członków. Nie było pomiędzy nimi starców i niedołęgów fizycznych, jak ja dzisiaj; wszyscy byli mniéj więcéj młodzi; wszyscy, jako jednego sposobu myślenia, zgodni pomiędzy sobą, a że w obu tych miastach łatwo było znaleźć zatrudnienie i każdy oddawał się jakiéjś pracy, nikt z pomiędzy nich nie cierpiał niedostatku. Byliśmy też nie tylko mile, ale i gościnnie przyjmowani. — Podróż wodna Sekwaną z Rouen do Hawru prześliczna! Brzegi naszéj kochanéj Wisły, kiedy w r. 1823 płynąłem galarem z Krakowa do Warszawy, miały zapewne dla mnie swój urok i gdyby mi Losy tego szczęścia dozwoliły — oglądałbym je z tą samą lubością, co rodzinne moje strony, ale one z malowniczémi brze-

gami dolnéj Sekwany porównania nie wytrzymają. W Hawrze kąpaliśmy się w morzu raz czy dwa razy. Powróciwszy w pierwszych dniach Września do Paryża przez Rouen, gdzieśmy się zatrzymali i przenocowali, podejmowani znowu gościnnie od naszych politycznych współwyznawców, udaliśmy się do Raspaila jeszcze tego samego dnia wieczorem; bo on nam tylko wieczorne godziny na konferencyę z sobą wyznaczył z obawy podglądów argusów policyjnych, którymi się mniemał bydź otoczonym.(x) Lecz on obietnicy nie dotrzymał, zajętym będąc inną jak mówił, nieodzownie pilną dla niego pracą, i wyznaczył nam znowu drugi termin, przepraszając za zawód. I tym razem nie daliśmy mu poznać, że zwłaszcza druga odwłoka nie mogła nam bydź miłą. Ponieważ zaś była już wówczas Kolej z Paryża do Wersalu i druga do Saint-Germain-en-Laye, umyśliliśmy koleją żelazną zrobić znowu wycieczkę do pierwszego z tych miast, aby nie siedzieć w Paryżu pomiędzy nieostygłemi jeszcze murami podczas bardzo pięknych dni wrześniowych. Ja mianowicie, lubo już znałem dobrze Wersal od r. 1832, gdzie nie raz bywałem, kiedy wody grały,

(x) Podejrzliwość Raspaila w tym czasie może już była usprawiedliwiona; okazał on wzgardę rządowi nieprzyjęciem orderu Legii honorowéj, którym go obdarzyć chciano za dzieło o chemii organicznéj; z resztą, jako republikanin występowy był miany za jednego z nieprzejednanych i niebezpiecznych przeciwników nie tylko rządu, ale i dynastyi Ludwika Filipa.

pragnąłem, prócz tego, zwiedzić sławne muzeum obrazów w tamtejszym zamku, niedawno założone. Gdyśmy przybyli do téj dawnéj rezydencyi Królów francuskich, spotkaliśmy się z Teofilem Januszewiczem, zaraz na dworcu kolei żelaznéj, gdzie on miał jakąś małą posadę. Z tym byłym prezesem Komissyi województwa Sandomirskiego, byliśmy oba z Jakubowskim na bakier, jako członkowie C.[†] z r. 1836 i 1837, przeciwko któréj on także z Józefem Ordęgą, Walerym Wielogłowskim i kilku innymi, a pod przewodztwem Karola Różyckiego, w owych latach dołki kopał i pokątnie Towarzystwo przeciw niéj podburzał. Januszewicz powitał nas jednak uprzejmie, i na objad wieczorem do siebie zaprosił. Zaproszenie, jak gdyby pomiędzy nami nigdy nic nie było, przyjęliśmy, i po zwiedzeniu muzeum, gdzie są i obrazy odnoszące się do historyi polskiéj, poszliśmy do niego o wyznaczonéj godzinie. Januszewicz mieszkał z żoną, i dwiema córkami, starszą już dorosłą, a drugą dorastającą. Zastaliśmy tam młodego Piotra Skawińskiego, któ-

ry nam już był z nazwiska znany, jako członek Tow. Demokratycznego. Był to dorodny i inteligentny młodzieniec, rodem także z Sandomirskiego, jak Januszewicz; brał się już do jego młodszéj córki, i z nią się późniéj ożenił. Nadzwyczaj grzecznie podejmowani, nie bez przyjemności przepędziliśmy tam cały wieczór. Nazajutrz mieliśmy wracać do Paryża; ale Skawiński zapraszał nas z sobą do Grignon, gdzie był uczniem sławnéj tamtejszéj szkoły agronomicznéj, perswadując nam, że ponieważ Grignon leży w połowie drogi z Wersalu do St. Germain-en-Laye (tj. tylko o 8 kilometrów od każdego z tych miast), on nas chętnie odprowadzi do St. Germain gdzie także nie jedna rzecz jest do widzenia, a stamtąd znowu koleją żelazną będziemy mogli wrócić do Paryża. Daliśmy się namówić, i nazajutrz powędrowaliśmy z nim na piechotę. Ja piérwszy dałem się namówić z powodu, że w szkole agronomicznéj w Grignon był także wówczas mój dawny współuczeń ze szkół krakowskich, Maxymilian Żelkowski,

którzy następnie w tej samej szkole został adjunktem profesorem, a w końcu dostawszy się do Galicyi, miał wziętość w powstałych tam, za zmianą absolutyzmu austryackiego, towarzystwach rolniczych.

Grignon, niewielka wioska nad rzeczką, niedaleko lasu, z powodu, że ma wszystkie domy murowane i dachówką pokryte, mogłaby się Polakowi wydawać jak miasteczko. Tuż za gmachem szkolnym i należącémi do niego zabudowaniami rozciąga się park obszérny, a obok niego parę staj ornego gruntu, na którym uczniowie uczą się orać. Prócz Skawińskiego i Żelkowskiego, było tam jeszcze kilku innych Polaków emigrantów, uczących się także agronomii. Zapoznaliśmy się, rzecz prosta, ze wszystkimi, i przepędziliśmy parę dni przyjemnie, równie z nimi jak ze Skawińskim i Żelkowskim, ile że to była jeszcze podczas wakacyj. Ten czas zszedł nam częścią na zebraniach i pogawędkach ~~w~~ mieszkaniu ~~ach~~ tego lub owego na wsi, bo dla braku miejsca w zakładzie, niektórzy, a między nimi Żel-

kowski i Skawiński, na wsi mieszkali — częścią na przechadzkach po parku i zwiedzaniu pobudynków szkolnych, na oglądaniu różnego rodzaju narzędzi rolniczych i zwierząt domowych wzorowo utrzymywanych. Z zadowoleniem też opuściliśmy Grignon, gdzie, jak w Rouen i Hawrze, nie potrzebowaliśmy sięgać do kieszeni, będąc gościnnie i po bratersku przyjmowanymi. Żelkowski i Skawiński chcieli nas odprowadzić do samego St Germain, aleśmy na to nie pozwolili; odprowadzili nas też tylko do połowy drogi, tj. mniéj więcéj cztery kilometry.

W St Germain nie mieliśmy żadnego powodu długo się zatrzymywać; musieliśmy jednak przenocować. Nazajutrz rano, przy pięknéj pogodzie, przeszliśmy się cokolwiek po mieście, położoném na wysokiém wzgórzu. Tuż zaraz za miastem rozciąga się wielki las, wysokopienny. Że zaś od strony Paryża wzgórze bardzo strome, jest na krawędzi lasu a ponad

urwiskami długi mur, wysokości mniéj więcéj jednego metra, skąd prześliczny widok na Paryż i jego pobliższe okolice. Nasyciwszy wzrok tym widokiem, wróciliśmy koleją żelazną do Paryża. Z St Germain-en-Laye jak z Wersalu jednaka prawie do Paryża odległość, t.j. około 20 kilometrów. Jazda koleją żelazną z tego miasta do Paryża, gdy się zjedzie na nizinę, nie jest tak urocza, jak z Wersalu lewym brzegiem Sekwany, ale niemniéj byliśmy z niéj zadowoleni, podziwiając, po drugi raz, nieobliczoną ważność wielkiego wynalazku XIX wieku, który nie miał być ostatnim.

Nie mając pewności, czy Raspail ma już rękopism gotowy, i nie chcąc jeszcze raz mieć zawodu, poszliśmy do niego dopiéro w parę dni, po powrocie do Paryża. Miał on już wprawdzie rękopism, ale jeszcze niezupełnie wykończony. Przystąpił jednak do czytania nam go zaraz tego samego wieczora. Czytanie to musiało zabrać kilka posiedzeń; rękopism był obszérniejszy, niż eśmy się spodziewali. Nad pier-

wszémi rozdziałami: O naturalnych granicach Polski, o kształtach rządu u dawnych ludów europejskich w ogólności, o ludach słowiańskich w szczególności i o feudalizmie, przeszłym w części do Słowian od ludów europejskich, trudno było robić mu jakie-kolwiek uwagi, były w nich własne jego pomysły, w których rozstrząsanie wdawać się nie mogliśmy. Dopiéro, gdy nam czytał o władzy królewskiéj w Polsce, o stósunku szlachty do téj władzy, i dalsze rozdziały, osnowane na podstawie dostarczonych mu przez Cię i przeze mnie materyałów, wypadało mi (Jakubowski mało się odzywał) zrobić mu parę uwag, i zrobiłem je z całą oględnością i delikatnością, aby się nie uraził, i nie wziął mi tego za jakąś impozycyę. Między innémi, pamiętam, radziłem mu wymazać wcale niezgodną z historyą wzmiankę o Chmielnickim — zwanym przez niego jednném słowem "Bogdanko" — i on, wysłuchawszy mego przełożenia, zgodził się na to bez trudności. Trzeba wiedzieć, że Raspail ~~z tekstu przekł~~ utworzył sobie był

niedokładne a raczéj błędne wyobrażenie o Chmielnickim z niektórych publikacyj francuskich Jana Czyńskiego i z artykułów tegoż o Kozakach i wojnach kozackich z Polską, w dzienniku Le Réformateur umieszczanych. Końcowego, najobszérniejszego rozdziału: "Przyszłość Polski" Raspail nam nie czytał, bo go, jak namieniłem, nie miał jeszcze napisanego, i my téż, na odczytanie nam go, nie mieliśmy potrzeby czekać, zostawiając szanownemu autorowi zupełną swobodę wypowiedzenia swoich osobistych zapatrywań.

Tak powstało dziełko: "De la Pologne sur les bords de Vistule et dans l'Emigration." Raspail przypisał je wspomnionemu już przyjacielowi jego, Kersozemu, będącemu wówczas na wygnaniu w Anglii, porozumiawszy się z nim poprzednio w tym względzie. W tém przypisaniu, dla zasłonięcia się przed rządem francuskim, powiada Kersozemu"... znajdujące się w tém dziełku, a dotąd we Francyi nieogłoszone akta emigrantów polskich, jak np. Manifest Towarzystwa

Demokratycznego Polskiego, są tłómaczeniami autentyków, któreś mi z Anglii nadesłał." To dziełko w dziennikach francuskich różnie, stósownie do opinii każdego, było oceniane. W jednym z głównych organów stronnictwa liberalnego a raczej demokratycznego, w Le National, ocenił je bardzo przychylnie mój imiennik, podpisujący się (aby Francuzi nazwiska jego źle nie wymawiali) Yanoski Jean, syn starego wojaka pozostałego we Francyi po upadku Napoleona. O tym moim imienniku, z którym się przyjaźniłem, odkąd się z nim w tymże r. 1839 poznałem, są już wzmianki w moich papierach, przesłanych do Biblioteki, tu tylko nadmienię jeszcze, że on, za panowania Ludwika Filipa, był, przez pomyłkę, napastowany za mnie od policyi, a nawet raz aresztowany, ja zaś odbierałem od Polaków powinszowania za niego, kiedy on, nie pomnę za jaką pracę naukową, odebrał nagrodę od Instytutu Francuzkiego.

Szło teraz o rychłe ogłoszenie, w przekładzie polskim, dziełka Raspaila. Pragnęła tego nie tylko sama Cja, ale całe, można powiedzieć Tow^wo, a przynajmniéj gorliwsi o propagandę zasad demokratycznych w kraju jego członkowie, zwłaszcza, po trzech czy cztérech artykułach Leonarda Rettla, który to dziełko w Demokracie Polskim z młodzieńczym zapałem uwadze publicznéj polecał. Tém tłómaczeniem miałem się ja zająć; tego żądała po mnie Cja i Raspail się spodziewał. Tymczasem L. Rettel tak się był zapalił do téj pracy, że mnie prosił usilnie o odstąpienie mu jéj. Zgodziłem się na to, i zabrał się zaraz do tego tłómaczenia; ale, że styl Raspaila, lubo jędrny a miejscami świetny — niełatwy, owszem nieraz zawiły, nie szło mu składnie; niektórych nawet wyrażeń autora wcale nie zrozumiał, i błędnie chciał je oddać. Widząc to Cja skłoniła Rettla do odstąpienia zamiaru, i mnie ostatecznie tłómaczenie poruczyła, prosząc oraz, abym się z tém przed nikim nie wydawał, a to

dla niekompromitowania Rettla, który już był w Paryżu rozgłosił, że się tem tłómaczeniem zajmuje. Przystałem i na to; wszak ja już poprzednio tłómaczyłem bezimiennie "Le livre du peuple" Lamenego i nie jeden artykuł do Demokraty Polskiego i Przeglądu Dziejów Polskich. Tłómaczenie moje wydała zaraz Cka w Poitiers, 184 r. pod tytułem: "Polska nad brzegami Wisły i w Emigracyi" ze stósowną przedmową.

Dziełko Raspaila dotknęło boleśnie stronnictwo arystrokratyczno-dyplomatyczne, skupiające się około księcia A. J. Czartoryskiego i przez niego kierowane, zwłaszcza, że współcześnie nastąpił w niém przełom. Organ jego dotychczasowy: Kronika Emigracyi Polskiej, wydawanana przez Karola Boromeusza Hofmana et consortes, popierająca Księcia pana jako niby naturalnego naczelnika Emigracyi i Polski, przestała wychodzić, a na jéj miejsce Janusz Woronicz, po ogłoszeniu broszury: "Rzecz o dynastyi Czarto-

ryskich" zaczął wydawać dziennik: „Trzeci Maj", forytując ~~pra prezesa~~ Czartoryskiego do tronu polskiego i mieniąc go po prostu — bez żadnej protestacyi z jego strony, a więc za jego przyzwoleniem — jakby z Bożej łaski "Królem de facto". Ta pocieszna dynastya i jej poplecznicy nie mogli znieść cierpliwie ciosu, jaki dziełko Raspaila ich dzikim uroszczeniom zadało. Postanowili też przynajmniej osłabić nieco wrażenie, jakie ono wywało w przychylnej sprawie polskiej publicznej opinii francuskiej, która przywrócenia Polski bez reform społecznych nie pojmowała. Jakoż wynaleźli pomiędzy mało co znanymi pisarzami francuskimi Felixa Colson, którego postępowe stronnictwo francuskie nazywało zbiegiem (transfuge) ze swego obozu — i dostarczywszy mu materyałów zażądali od niego napisania choćby niewyraźnej i tylko niejako ubocznej repliki na dziełko Raspaila. I Colson — rozumie się niezadarmo, lecz dobrze zapłacony —

wnet napisał książkę pod tytułem: "Les cabinets du Nord et la Pologne". Nie trudno atoli było Demokracie Polskiemu dadź porządną odprawę Colsonowi, który tylko z dyplomatycznego stanowiska wymijająco sprawę polską rozważa, stawi politykę familii Czartoryskich, i księcia Adama Jerzego widzi już gotowego zasiąść na tronie Jagiellonów, domniemywanych jego przodków.... Opowiadam fakta, nic nie zakrywając. Niech ten, kto będzie czytał tę moję relacyę — jeżeli się kiedy taki znajdzie — osądzi w swojem sumieniu i z dopiero co opisanego faktu, czy w Emigracyi z r. 1831 nie było powodu do niezgody, na którą się tyle w kraju żalono, i, jeżeli był, z któréj był strony.

"Prywata a Publika, to niby noc do dnia;
To jak ogień i woda, jak cnota i zbrodnia!"

W r. 1848, po rewolucyi Lutowéj, przybywszy do Paryża — po latach 15^tu^, przez które, tu i owdzie,

na prowincyi mieszkałem — odnowiłem znowu znajomość i przyjazne stósunki z Raspailem. Nie potrzebował on już wystrzegać się tak argusowych oczu policyi, jak w r. 1839, i nie mieszkał na Montrouge, prawie poza miastem; ale niemal w środku miasta, przy ulicy M.r le prince, i daleko wygodniej niż przedtém. Wydawał dziennik L'Ami du peuple, i miał klub noszący jego nazwisko. Ze wszystkich klubów, a było ich bardzo wiele, ten jego klub był podobno najliczniejszy, i miewał posiedzenia w wielkiej sali Montesquieu — mogącéj pomieścić 4,000 osób — przy ulicy tegoż nazwiska, blisko Palais-Royal. Dał mi też zaraz stały bilet na posiedzenia tego klubu; ale ja, w przeciągu trzech czy więcéj tygodni, na żadném nie byłem, będąc zawsze wieczorami między swoimi zajęty. Natomiast odwiedzałem go często w jego mieszkaniu, i tam poznałem wspomnianego już jego przyjaciela Kersozego, który był wrócił z wygnania, jak on z więzienia, w skutek rewolucyi Lutowéj.

Kersosie, który w r. 1831 nie zdołał na czas przedostać się do Polski i wziąć udziału, jako ex-wojskowy, w orężnéj jéj walce, goręcéj jeszcze, rzec można, niż Raspail zajmował się sprawą naszą; ale w tym względzie więcéj było u niego zapału niż rozwagi; więcéj szlachetnego uczucia w sercu niż zmysłu politycznego w głowie. Uwierzył on był słowom wielowładnego wówczas Lamartina, który biorąc pochop z wybuchów rewolucyjnych w Berlinie i w Wiédniu, a chcąc się pozbydź z Francyi emigrantów polskich, powiedział wysłanéj do siebie przez nich deputacyi: „Droga do Polski jest dla Panów otwarta. (Le chemin de la Pologne vous est ouvert..) Chciał mnie też koniecznie prowadzić do Ludwika Blanc, który z tłumów różnego rodzaju robotników, potrzebujących zarobku na życie, utworzył był tak zwane warsztaty narodowe (Ateliers nationaux) — zaręczając mi, iż ten odda pod moje rozkazy (sic!) 25,000 ludzi gotowych zaraz pomaszerować do Polski. Ledwo mogłem uszom

moim wierzyć, słysząc taką propozycyę z ust człowieka, już w dojrzałym wieku i którego z reputacyi, jakiéj w stronnictwie republikanckiém od r. 1831 używał, mogłem mieć za mniéj więcéj wytrawnego polityka. Ta jego propozycya tak niespodziewana i dziwna nie mogła znaleźć z mojéj strony przyjęcia; wywołała tylko przydłuższą między nami dyskusyę. Dziękując mu téż, jak mogłem najuprzejmiéj, za dobre jego chęci dla sprawy polskiéj, i przyznając mu, że ją słusznie uważa za sprawę ogólnéj wolności, wręcz mu najprzód oświadczyłem, że ja do podobnéj czynności żadnego mandatu nie mam, a potém mu przekładałem, że nie tylko ja w żadnym razie, ale i C.C. (le comité central), która reprezentuje przeszło 2000 demokratów polskich, nie mogłaby się zgodzić na jego propozycyę, bo ona z wielu względów jest niepodobną do wykonania. I nietrudno mi to było wykazać, przypuszczając bowiem, iżby był Louis Blanc przystał na nię, i

znalazło się 25,000 ludzi, gotowych zaraz wyruszyć do Polski, czyim kosztem i którędy było ich prowadzić? Sam nawet tymczasowy rząd francuski nie byłby zezwolił na wyprowadzenie ich za granicę, skoro, dla zaspokojenia Europy monarchicznéj, wydany, d. 4 Marca, w jego imieniu przez Lamartina manifest oznajmił uroczyście, iż Rzeczpospolita francuska nie uznaje wprawdzie co do siebie traktatów wiedeńskich z r. 1815, ale szanować będzie rozgraniczenia terytoryalne, przez nie ustanowione, że więc tém samém wyrzekła się propagandy rewolucyjnéj, i do trzech zaborców Polski zdawała się mówić: <u>Uti possidetis, ita possideatis</u>!.... — Poczciwy Kersosie dał się nareszcie przekonać, i przestał nalegać na mnie o pójście do Ludwika Blanc, gdy Raspail, zajęty pisaniem w drugim pokoju — który był otwarty — i nie wtrącający się długo do naszéj rozmowy, wszedł w końcu, i zwracając się do niego, odezwał się: Non, ce n'est pas de cette manière là, en effet, que la France peut intervenir avec succès

en faveur de la Pologne!" Raspail chciał, jak i Barbès i inni zdeklarowani przyjaciele sprawy polskiéj, formalnéj, zbrojnéj interwencyi Francyi do Polski. Dlatego, jak Barbès i wszyscy zresztą klubiści, agitował on do 4 Maja, w celu obalenia tymczasowego rządu (gouvernement provisoire), a po tym dniu, w którym się zebrała Konstytuanta(x), agitował w celu obalenia ustanowionéj, na miejscu rządu tymczasowego, władzy wykonawczéj (pouvoir exécutif), do któréj wszedł także znowu jawny nieprzyjaciel Polaków i Polski Lamartine. Najkrótszy opis tych agitacyj byłby tu zadługi; dość kiedy powiem, — co zresztą wiadomo — że powtórna, imponująca, bo przeszło 200,000 uczestników licząca manifestacya za Polską, chybiła celu i tylko niezmiernie zaszkodziła dobréj sprawie. Wszystkie petycye klubów ułożone były w jednym duchu, a petycya klubu Raspaila odznaczała się jędrnością stylu i gruntownością argumentów. Ale Raspail, jak Barbès i inni

(x) Konstytuanta czyli Zgromadzenie ~~Konstytucyjne~~ narodowe (Assemblée constituante) złożone było z reprezentantów ludu (représentants du peuple), po pierwszy raz przez świeżo zaprowadzone głosowanie powszechne (suffrage universel) ~~do~~ ułożenia Konstytucyi wybranych.

naczelnicy klubów, chcieli przedewszystkiem Władnem zgromadzeniem, jak to bywało przed Konwencyą za piérwszéj rewolucyi — przedefilować na czele ludu i osobiście mu swoje petycye złożyć. Tego Konstytuanta postanowiła niedopuścić, i tylko za pośrednictwem jednego ze swych członków pozwoliła do siebie petycye podawać.

Podczas kiedy Raspail negocyował o to z delegowanymi prezesa Konstytuanty, udało mu się dostać do sali posiedzeń, i zaczął czytać zredagowaną przez siebie petycyę, na co prezes Buchez, rad nierad, zezwolił. Wnet dawna siedziba Izby deputowanych, a teraz Reprezentantów Ludu, powołanych na prawodawców Rzeczypospolitéj — le Palais Bourbon — została formalnie oblężona przez lud coraz tłumniéj napływający. Ścisk był niezmierny, i gdy na dziedzińcu pałacu — od strony placu, zwanego wówczas Burgundzkim (place de Bourgogne) padł strzał karabinowy, rozumiano w tłumie — w którym się i ja znajdowałem — że chciano strzelać do niego.

Tłum też rzucił się natychmiast, z niepohamowaną gwałtownością — jakby na komendę — do wyłamania sztachet czyli krat żelaznych, otaczających dziedziniec, i wyłamawszy je w okamgnieniu, pomimo oporu gwardyi narodowéj trzymającéj tam warty, wtargnął hurmem do sali posiedzeń. Wcisnąłem się i ja z nim, a raczéj wepchnięty tam zostałem. Widok tam był przerażający i zasmucił mnie, bo jakkolwiek, znając skład Konstytuanty, w któréj Lamartine był niejako wyrocznią, nie spodziewałem się ~~nic~~ dobrego skutku z téj całéj manifestacyi, nie przypuszczałem jednak tego, co się stało. Gdym wszedł, już było po ogłoszeniu Konstytuanty za rozwiązaną przez niejakiego Huberta — nie wiem, czy samowolnie z jego strony, czy też podług poprzedniéj umowy z Raspailem i innymi, i to podobno ostatecznie wyjaśnioném nie zostało. Członków Konstytuanty już niewielu było w sali, i ci, jeden za drugim, spiesznie opuszczali swoje miejsca, które lud zaraz

zajmował z hałasem i niby z tryumfem. Prezes Buchez, strapiony takiém pogwałceniem legalności, opuszczał w milczeniu swe krzesło, a Raspail, rozgorączkowany, wychodził szybkim krokiem; spotkawszy mnie, uścisnął mi rękę, i powiedział coś w dwóch czy trzech słowach, czego nie pamiętam. Od tego czasu już go więcéj nie widziałem. Pomijam dalsze szczegóły z jego życia, które tu nie byłyby na swojém miejscu, jako do jego biografii należące. Kończę rzecz o nim nadmienieniem, że gdy po r. 1860, kiedy on już przyszedł był do trzech czy czterech milionów majątku i zamieszkał w pięknym pałacyku z parkiem w Arcueil-Cachan o kilka kilometrów od Paryża — napisałem do niego z prośbą a raczéj z zapytaniem, czyby nie zechciał co poradzić jednemu z moich przyjaciół na trudny do wyleczenia defekt. Odpisał mi odmównie, i z wymówkami, że go Polacy opuścili, i zapomnieli o nim, kiedy on, po wy-

padkach 1848 r. był prześladowany. Nie mogłem bez odpowiedzi zostawić tego jego listu. Odpisałem mu też jak należało, w wyrazach wszakże umiarkowanych i grzecznych.

Tak się skończyły moje stosunki z tym uczonym i sławnym człowiekiem, który — jak to dałem poznać, nie wchodząc w niektóre ujemne strony jego charakteru — był równie szczerym jak gorliwym rzecznikiem sprawy polskiej we Francyi do r. 1848. W tym roku, po zwołaniu Konstytuanty, extralegalne usiłowania Raspaila i jego współwyznawców politycznych upadły, jakby były upadły i legalne. Chwila przyjazna do deklarowania się republikanckiej Francyi za narodowościami uciśnionémi już była przeminęła: manifest Lamartina już był wszystko popsuł. Rewolucya zatrzymana w swoim rozwoju w Paryżu, musiała się zatrzymać w Berlinie i Wiédniu, po świetnych w tych stolicach — za czarodziejskim wpływem Francyi — wybuchach, które wyrodziły niebawem tylko straszną reakcyę. Gdzie bowiem nie ma silnéj akcyi, tam musi być reakcya.

Louis Blanc, będący w Londynie na wygnaniu, równocześnie ze mną, 1850 r., upewniał mnie i innych Polaków, że rząd tymczasowy, którego on był członkiem, nie zapomniał był wcale o Polsce, ale gdy, zaraz po swojéj installacyi, zawezwał będących w Paryżu generałów, aby mu powiedzieli, ile wojska może Francya wyprowadzić w pole, a ci mu jednozgodnie oświadczyli, że nie więcéj nad trzydzieści tysięcy, rząd tymczasowy nie mógł przybrać nieprzyjaznéj postawy względem monarchicznéj Europy, i wydadź innego manifestu jak wydał. To zapewne — jeżeli tylko tak istotnie było — tłómaczy ów rząd tymczasowy i Lamartina; ale dlaczego oni sparaliżowali przedsięwzięcie Ledru Rollina, który, jako minister spraw wewnętrznych, wysyłając cichaczem swoich agentów do Niemiec i do Belgii, chciał wywołać ogólną rewolucyę w Europie, któréj skutkiem mogło bydź wyzwolenie Polski i utrwalenie Rzeczypospolitéj we Francyi? —

(Spostrzegam się, że chociaż lubię zwięzłość, — o ile ona daje się pogodzić z jasnością, — wpadam mimowolnie w rozwlekłość. Jest to winą mego stanu zdrowia, niedozwalającego mi często należytej rozwagi, a oraz mego wieku, skłonnego do gadatliwości. — Senectus garrula est. Tak zapewne będzie i daléj; będę jednak jeszcze zbierał i notował moje wspomnienia, dopóki będę mógł, skoro mnie do tego zachęcać nie przestaje mąż pełen dla mnie życzliwości.)

Druga, po Raspailu, znakomitością naukową i polityczną, z którą się, zaraz po przybyciu do Paryża w r. 1832, poznałem, był wyżéj wspomniony Buchez, najpierwszy prezes Konstytuanty w r. 1848. Poznał mnie z nim Lelewel, mający już z nim bliższe stósunki, bo on zgłosił się był zaraz do Komitetu Narodowego, jak się tylko zawiązał, z oświadczeniem mu swojéj życzliwości i usług, jakieby mu mógł oddadź. Buchez miał jeszcze wówczas przyjaciół na urzędach w ministeryum spraw wewnętrznych i w prefekturze

policyi, i przez tychto jego przyjaciół, otrzymywał Komitet Narodowy paszporta dla Polaków, których chciał gdzieś wysłać pod obcém nazwiskiem. I tak wysłany został do Węgier, pod nazwiskiem Schlittenberg'a, ~~ks~~ Felix Saniewski, który, podczas powstania, odgrywał smutną rolę, jako wydawca wcale niesumiennego dziennika pod nazwą: "Polak Sumienny", i o którym w swojém miejscu już mówiłem. Buchez był w lepszém materyalném położeniu niż Raspail; zajmował owszem bardzo wygodne pomieszkanie, w środku miasta, przy ulicy Chabannais N° 8, gdzie w dość obszérnéj sali, wykładał — nie pamiętam, jak często — Kurs historyi ludzkości (Cours d'histoire de l'humanité). Nie miał on porywającéj, świetnéj wymowy, jaką się odznaczali ~~inni~~, współcześni mu ludzie nauki, ale mówił płynnie, donośnym, przyjemnym głosem i przekonywająco, jak przystało na filozofa. Miał też słuchaczów zawsze pełną

salę, po większej części ludzi poważnych wiekiem i stanowiskiem społecznem, profesorów z wyższych zakładów naukowych, jak np. Lherminier'a, sławnego wówczas profesora historyi porównawczej prawodawstw (histoire des législations comparée) w Collège de France. Bywałem na tych jego konferencyach, dopóki byłem w Paryżu, ile razy mi nic nie przeszkodziło. Mogę powiedzieć, że mnie Buchez bardzo polubił; zapraszał mnie też często do siebie, bądź na śniadanie, bądź na objad. Na tych śniadaniach i objadach – a był on kawalerem – bywał razem ze mną jego przyjaciel i współpracownik naukowy w czasopiśmie: "L'Européen", które wówczas wydawał, a potem w dwudziestotomowém dziele: Histoire parlementaire de la révolution française, nazwiskiem Roux-Lavergne. Siedząc przy stole rozmawialiśmy we trzech o tém i o owém, możnaby powiedzieć de omni re scibili, ale bez dodatku et quibusdam aliis. Rozumie się, że zawsze Buchez

ze swym przyjacielem prowadził głównie rozmowę; ja się nie do wszystkiego mogłem wtrącać i nie wtrącałem, chyba gdybym o zdanie zapytany, lub gdy mowa była o znajomym mi dobrze przedmiocie. Rzecz także prosta, że z powodu mojej obecności bywała zawsze jakaś wzmianka o Polsce i Polakach lub sławniejszych autorach po francusku o Polsce piszących, jak o Janie Jakóbie Rousseau, którego, nie pomnę dlaczego, nazwał raz "un pauvre bonhomme". W tym razie musiałem się w kilku słowach odezwać za filozofem genewskim, jako za gorącym przyjacielem Polski; temu Buchez przeczyć nie mógł, i nie przeczył. Innym znowu razem pozwoliłem sobie zrobić mu uwagę — razumie się w sposób delikatny, że ludzkość, w średnich wiekach, nie zamykała się całkiem w granicach starej Francyi, w których on zdawałoby się chce zamknąć jéj historyę, zwracając się ciągle w swoim wykładzie do odniesionego nad Saracenami zwycięstwa

przez Karola Martela w r. 732 — ale rozciągała się daleko na Północ i Wschód, i że tam także, a nawet dłużéj tylko nieco póżniéj odpiérano tych nieprzyjaciół Ludzkości. Nie pamiętam dobrze, co mi na to odpowiedział; zdaje mi się, że mnie jego odpowiedź nie zadowoliła. Francuzi mogą zapewne chlubić się wielkiémi zasługami względem Ludzkości, ale niełatwo którego z nich przekonać, że i inne narody położyły niemałe zasługi w sprawie bezpieczeństwa, swobód i oświaty Zachodu Europy, choćby tylko powierz-chni rzecz uważając.

W r. 1834 czy 1835 założył Buchez towarzystwo naukowe pod nazwą "Institut historique de Paris." Na prezesa onego przedstawił mającego sławę z głębokiéj nauki członka Akademii francuskiéj Michaud, autora bardzo cenionego dzieła: "Biographie universelle", i ten został wybrany prezesem, a on tylko wice-prezesem, jak sobie życzył. W piérwszych latach swego istnienia towarzy-

stwo to rozwijało się wcale pomyślnie, wydając w miesięcznych zeszytach czasopismo pod nazwą "Investigateur", i zwołując co rok Kongresa historyczne do Paryża, które się odbywały w ratuszu, we wspaniałej sali S.t Jean. To upoważniło je poniekąd do zamienienia swej nazwy na "Institut historique de France". Ale jego pomyślność nie trwała dłużej nad lat kilkanaście, ~~zwłaszcza~~ istnieje ono dotąd, ale o niém w świecie naukowym, zwłaszcza od śmierci Bucheza nie wiele słychać. Z Polaków weszli byli wcześnie do niego Michał Czajkowski, późniejszy renegat, Sadyk Pasza, i drugi, podobny wietrznik i spekulant polityczny Jan Czyński. Zaraz wkrótce po swojém wejściu, podobno za pobudką Bucheza, podali mnie oni na członka. Z témi indywiduami, jako będącémi wówczas w Tow.^m demokratycznem polskiém, byłem wcale dobrze, i przyjąłem ich propozycyę tém chętniéj, że spodziewałem się, iż będę mógł podawać artykuły o

Polsce do Dykcyonarza historycznego który to towarzystwo wydawać miało. Nadzieja atoli moja zawiedzioną została, lubo ja przyjęty zostałem i byłem członkiem korespondentem tego towarzystwa (classe des langues et littératures étrangères) do r. 1848; bo to towarzystwo takiego zbiorowego dzieła nie wydało i tylko jeden z jego członków, Dufey de l'Yonne ogłosił swoję indywidualną pracę pod tytułem: Dykcyonarza historycznego.

Dawny węglarz (carbonaro) i spiskowiec przeciw starszéj linii Burbonów filozofował jeszcze Buchez ~~[illegible]~~ po r. 1832 i kilka następnych, i słusznie nazywany był filozofem. Z czasem atoli, zachodząc w lata, co raz mniéj miał prawa do téj nazwy, i w końcu stracił je zupełnie u swych dawnych kolegów i przyjaciół politycznych. Ci dziwili się, i nie pojmowali, jak człowiek tak potężnego umysłu, mógł w Nowym Testamencie dopatrzyć się tego, czego tam nie ma, jak mógł

naprzód w nibyliberalnego, a potém przedzierzgnąć się w prawowiernego Katolika — un vrai croyant — jak mógł wierzyć w objawienie, we wszystko, co Kościół Katolicki do wierzenia podaje i wypełniać przykazania tegoż! Istotnie, Buchez, jeszcze na wiele lat przed śmiercią, zmienił się do niepoznania; wymarzył sobie, że Katolicyzm może się sam odrodzić i odrodzić Ludzkość. Téj swojéj doktryny nie znalazł on wielu zwolenników pomiędzy swymi rodakami, jak się to i innym tego rodzaju reformatorom nie udało. Ale chwyciło jéj się kilku z pomiędzy Polaków: Józef Ordęga, Walery Wielogłowski, Stanisław (hr.) Poniński, Jan Kanty Podolecki i niektórzy inni. Tym sposobem powstała w łonie emigracyi polskiéj garstka pseudodemokratów Katolików, i wydawała czas niejaki dziennik „Demokracya Polska XIX wieku" usiłując napróżno podkopać Tow: demokratyczne polskie, które dla dobra sprawy narodowéj pragnęło

wszystkich Polaków, jakiegokolwiek wy-
znania jednoczyć, nie zaś ich rozłączać
propagandą prowadzącą wprost do fa-
natyzmu uznanego już za jedną z głównych
przyczyn niemocy politycznéj i upadku
narodu. O tych apostołach nowéj jakoby
wiary katolickiéj, mającéj być jedynie
zbawczą dla Polski pisał nie raz, w swoim
czasie, Demokrata Polski, i ja także nie raz
pisałem. Sam ~~[illegible]~~ Podolecki, z pomię-
dzy nich wszystkich, był podobno dobréj
wiary; innych przewrotna, osobista ambi-
cyjka kierująca się szlachta.(x) Buchez od-
niesnego dnia 15 Maja 1848 zniknął ze sce-
ny życia publicznego, i oddał się medy-
cynie, któréj był doktorem, i tylko długo
nią się nie trudnił. Ja od r. 1833, w którym
się z Paryża oddaliłem, nie mogłem już mieć
z nim bliższych stosunków, a później ża-
dnych nie miałem. Wszakże pisałem pa-
rę razy do niego w r. 1836 czy 1837, kiedyśmy

(x) Na tym pseudodemokratyzmie katolickim Ordęga dobrze wyszedł. Zapoznał on się z Juliuszem Bastid, naczelnym redaktorem dziennika Le National, który był także zwolennikiem doktryny Bucheza. Gdy Bastid, w r. 1848, został po Lamartinie ministrem spraw zagranicznych, Ordęga wymógł na nim, iż wziął pod swoję opiekę najstarszego syna jego Władysława, już naturalizowanego Francuzem, i dopomógł mu wykierować się z czasem na konsula francuskiego. Dziś (Paźd. 1881) jest Wł. Ordęga konsulem gen. Francyi w Antwerpii.

do naszéj biblioteczki w Poitiers przyszli nabyć tańszym kosztem jego dzieło: "Histoire parlementaire de la révolution française". Umarł w Paryżu 1865, w 70 roku życia. Dzienniki chłodne o nim i dość lakoniczne zamieściły wzmianki, nawet te, które mu niegdyś nie szczędziły pochwał. I słusznie: nauka, talent i inne dobre przymioty nie stanowią jeszcze istotnéj wartości człowieka, i nie mogą mu jednać trwałéj sławy w świecie moralnym i politycznym, jeżeli im nie towarzyszy charakter. Tęgość i stałość charakteru to najpiękniejsza zaleta.

Że za przybyciem mojém do Paryża, w r. 1832, i w ciągu 15^{to}miesięcznego w nim pobytu, musiałem, prócz z Raspailem i Buchezem, zapoznać się z wielu innymi Francuzami, rzecz łatwa do pojęcia. Sympatya dla sprawy polskiéj jeszcze była nie wygasła, i utrzymywała się, lubo nie z tych samych pobudek i nie w równym stopniu, we wszystkich, można powiedzieć, stronnictwach, prócz rządowego. Wszystkich moich znajomych z owego czasu niepodobnaby było

wyliczać innych byłoby warto; bo, chociaż pomiędzy nimi mogłaby się znaleźć jakaś znakomitość, były to, po największéj części, znajomości – że tak powiem – przelotne, z powodu mego, po 15 miesiącach, oddalenia się na prowincyę. Wszakże wymienię dwóch: 1° młodego wówczas bardzo literata Barthélemy Hauréau, dziś jednego ze znakomitszych członków Instytutu Francuskiego i dyrektora Drukarni Narodowéj, który, lubo nie miał ze mną ciągłych stósunków, dochował mi wiernie staréj życzliwości, i 2° głównego redaktora dziennika „La Tribune", Armand Marrast, już od wielu lat nie żyjącego. Ten, pomiędzy dziennikarzami, odznaczał się szczególniéj częstém przypominaniem sprawy polskiéj francuskiéj opinii publicznéj i ujmowaniem się za emigrantami polskimi, ile razy coś nieprzychylnego im pokazało się w innych dziennikach francuskich lub zagranicznych. Stąd się często z nim widywałem. Gdym mu raz zaniósł do umieszczenia w „La

Tribune" odpowiedź na rażący panegiryk ks. Czartoryskiego (A. J.), umieszczony w "Le Messager des Chambres" przez Ludwika hr. Platera — panegiryk ogłaszający b. prezesa Rządu Narodowego polskim Katonem, którego skronie miała chcieć Polska uwieńczyć królewską koroną — on wzbraniał się przyjąć tę odpowiedź, ubolewając przytém nad brakiem jedności i zgody w łonie emigracyi. Musiałem mu tłómaczyć tén brak postępowaniem ks. Czartoryskiego w czasie powstania, postępowaniem upartém a niezgodném z dążeniami i opinią wyraźną narodu. Musiałem mu powiedzieć, że lubo ks. Czartoryski stał na czele rządu powstańczego, jednak powstania szczérze nie popiérał, owszem je paraliżował, zowiąc smutnym i niespodziewanym wypadkiem, a akt detronizacyi Mikołaja zgubą Polski itd. Nareszcie prosząc go, aby mi pozwolił zrobić sobie jedno przypuszczenie, zapytałem: czyby on pogodził się z p. Guizot, gdyby razem z nim, jakiémś wiel-

kiém nieszczęściem, wyparty został do Ameryki. Na to nie mógł mi odpowiedzieć twierdząco, bo silną i zawziętą, jeżeli nie najsilniejszą i najzawziętszą opozycyę stawiał ministérstwu Guizota. Nie robił mi też później już więc uwag o braku zgody i jedności w emigracyi polskiéj. Marast był potém redaktorem dziennika "Le National" bardzo także przychylnego sprawie Polskiéj i Polakom. W r. 1848 był on po Buchezie tj. od nieszczęsnego dnia 15 Maja prezesem Konstytuanty, i on to, wśród wielkiéj uroczystości, uchwaloną w tym roku konstytucyę, na placu de la Concorde, ludowi ogłosił.

Wracam do moich stósunków z rodakami, i nadmieniam, że, wszystkiego, z czasu mego pierwszego pobytu w Paryżu, nie będę mógł opowiadać ściśle chronologicznym porządkiem, nie jedno bowiem działo się równocześnie z drugiém.

Powiedziałem wyżéj, że Komitet Narodowy

miał wynajęty lokal w domu pod № 12, przy ulicy Taranne. Tam też odbywały się posiedzenia emigrantów, tak tych, którzy go 8 Grudnia wybrali, jak tych, co poźniéj do Paryża przybywając, uznawali go za reprezentacyę i organ, i gromadzili się około niego. Te ich posiedzenia nazywały się ogólnémi zgromadzeniami (zebraniami) Polaków w Paryżu, i odbywały się mniéj więcéj peryodycznie, co tydzień. Tam, w r. 1832, odbyły się równie obchody piérwszéj rocznicy detronizacyi Mikołaja i bitwy Grochowskiéj. Lecz Komitet Narodowy nie był wybrany przez wszystkich emigrantów, obecnych w Paryżu 8 Grudnia, i nie wszyscy go uznawali, poźniéj przybywający, mający różne uprzedzenia przeciwko niemu, a mianowicie przeciwko jego prezesowi, uprzedzenia mniéj więcéj niesłuszne, wyniesione z kraju. Tak samo miał wielu przeciwników na prowincyi, w zakładach Besançon i Avignon, z samych prawie wojskowych zło-

żonych, i ich liczba powiększała się w miarę jak nowe oddziały (kolumny) emigrantów przybywały tam z Niemiec aż do połowy 1832 r. Na ten stan rzeczy żalił się Komitet w swém "Zdaniu sprawy z czynności od 9 Lutego do 15 Kwietnia 1832 r." i ja te jego żale powtórzyłem w części w broszurze: "O początku demokracyi polskiéj" do któréj dość mi się odwołać. Tu zaś treściwie opowiém, jaką koleją przyszło do założenia Towarzystwa Demokratycznego, tj. do początku Demokracyi polskiéj. Na ogólném zgromadzeniu przy ulicy Taranne, d. 16 Lutego, Xawery Bronikowski – ostatni wiceprezydent Warszawy w czasie powstania i ~~i~~ wprzódy jeden z wiceprezesów Tow^{wa} patryotycznego – wystąpił z oświadczeniem, że ma złożyć przeciw Komitetowi zaskarżenia niebojętne. Wskutek tego oświadczenia zażądał prezes Komitetu Lelewel, aby z ogólnego zgromadzenia wyznaczone były niezwłocznie osoby do bliższego rozpoznania czynności Ko-

mitetu. Jakoż temu jego żądaniu stało się zadosyć, zaraz na tém samém posiedzeniu, i wybraną została deputacya, z pięciu członków złożona, mająca roztrząsnąć czynności Komitetu i zdadź raport ogólnemu zgromadzeniu. Do téj deputacyi większością głosów powołani zostali: Kazimierz Alexander Pułaski, Ignacy Romuald Plużański, Jan-Nepomucen Janowski, Jan Czyński i Eustachy Januszkiewicz.

Deputacya ta, chcąc rychło spełnić włożony na nię obowiązek udzielonym jéj mandatem, przystąpiła zaraz nazajutrz do rozpatrywania się w przedłożonych sobie aktach Komitetu, i po rozpatrzeniu się w nich w kilka dni, na długich codzień posiedzeniach, prosiła prezesa Lelewela o udzielenie jéj ustnie niektórych objaśnień. Lelewel zżymnął się na takie wezwanie, i wzbraniał się sam osobiście przed nią stawić, przysyłając na swoje miejsce: to sekretarza Komitetu Waleryana Pietkiewicza, to członków Antoniego Hłuszniewicza i Leonarda Chodźkę. Stawił się je-

dnak wkońcu, i dał żądane objaśnienia, gdy się deputacya tego domagać nie przestała; nabrawszy z akt przekonania, że nie Komitet kolegialnie, ale sam jeden prezes z sekretarzem lub którymkolwiek członkiem, a czasem i bez nich, wiele rzeczy załatwiał. W przeciągu niespełna dwóch tygodni, bo 29 Lutego, mogła deputacya wywiązać się ze swego zadania, i zdadź raport wraz z 11 wnioskami ogólnemu zgromadzeniu. Deputacya w tym raporcie nie odmawiała Komitetowi dobrych chęci i wielkiéj pracowitości; owszem, chętnie mu je przyznawała, równie jak poczuwanie się jego członków, do zasad demokratycznych, na których – zdaniem jéj większości – wszelkie działania w sprawie narodowéj opiérać się powinny. Lecz że Komitet, z braku potrzebnéj ~~odwagi~~ śmiałości czy cywilnéj odwagi zasad tych publicznie nie objawił, przekładała ogólnemu zgromadzeniu konieczną potrzebę takiego ich ~~og~~ objawienia, śmiało i otwarcie.

To było przedmiotem piérwszego wniosku; inne wnioski były mniejszéj wagi, i dziś mogę powiedzieć, że drugi – względem zawiązywania stósunków z niektóremi narodami – zawierał nawet zbyteczne wymagania. Łatwiéj krytykować niż działać z zadowoleniem wszystkich, i opozycya nie widzi często trudności, jakie napotykają sprawujący jakąkolwiek władzę. Zresztą, nasz raport pisał pospiesznie, w ostatniéj chwili, Pułaski, i nie mieliśmy dość czasu rozważyć go należycie.

Złożyliśmy więc nasz raport w oznaczonym terminie, na posiedzeniu 29 Lutego. Zaraz na początku tego posiedzenia, gdy Pułaski zaczął czytać, Lelewel się oddalił, pomimo że go w imieniu deputacyi prosiłem, aby pozostał, bo może będzie miał jakie uwagi do zrobienia. Tymczasem zgromadzenie ogólne, wysłuchawszy naszego raportu z oznakami zupełnego zadowolenia, przyjęło dwa piérwsze wnioski prawie jednomyślnie, bo tylko dwa czy trzy głosy były przeciwne: posła Kan-

terburego Tymowskiego, Kazimierza Wołowskiego (syna deputowanego) i podobno Pułkownika Józefa Zaliwskiego. Téj uchwale był Lelewel przeciwny z większością Komitetu, i poddadź jéj się, nie chciał. Nieomieszkał téż bydź obecnym na zwołaném zaraz przez siebie na ponazajutrz (tj. 2 Marca) zgromadzeniu ogólném, i zabrawszy głos z powodu protokułu z poprzedniego posiedzenia – tyle swemi przełożeniami dokazał, że zgromadzenie unieważniło poprzednie swoje postanowienie względem napisania politycznego wyznania wiary Komitetu i odezw, podług wniosków deputacyi.

Po tak niespodziewanym wypadku, nie mogła deputacya – jakkolwiek mandat jéj był już skończony – nie naradzić się jeszcze, jak jéj członkowie mają postępować daléj. Zebraliśmy się niebawem wszyscy pięciu. Pławański, Pułaski i ja byliśmy zdania, że z tak chwiejném zgromadzeniem niepo-

dobna pożytecznie dla sprawy narodowej dzia-
łać, i z niém i z jego Komitetem trzeba na dro-
dze politycznéj rozbrat zrobić. Czyński i Ja-
nuszkiewicz, którzy się później dali poznać
w emigracyi tylko ze swych różnych spekul-
lacyj, byli przeciwnego zdania, i daléj
z nami na drodze politycznéj współdziałać
nie chcieli. My więc trzej, porumiawszy się
z dwoma członkami Komitetu: Adamem Gurow-
skim i Tadeuszem Krępowieckim, postano-
wiliśmy do ogólnego zgromadzenia zro-
bić wniosek o jego, jako też Komitetu roz-
wiązanie, z oświadczeniem zarazem, że jak-
kolwiekbądź ono zadecyduje, my się od niego
odłączamy, postanowiwszy na innéj drodze
dla dobra sprawy publicznej działać. Dłu-
zański podjął się taki wniosek wygotować,
a że mogliśmy bydź pewni, iż odrzucony zostanie,
zgodziliśmy odrazu i jednomyślnie na założe-
nie towarzystwa pod nazwą Towarzystwa
Demokratycznego Polskiego, i równocześnie na-

radzaliśmy się nad zredagowaniem aktu założenia i ustaw onego.

Jak przewidywaliśmy, wniosek o rozwiązanie zgromadzenia ogólnego i jego reprezentacyi Komitetu, przez Płużańskiego zredagowany a podpisany przez nas wszystkich pięciu, przedłożony ~~mu~~ został d. 16 Marca, i przez nie odrzucony. Nie wzięło go nawet pod rozwagę, i tylko go odczytano; natomiast nie szczędzono nam wyrzutów za takie nasze zuchwalstwo. Zakrzyczani, opuściliśmy to sławne zgromadzenie przy ulicy Taranne, i nazajutrz, 17 Marca, mając już wszystko przygotowane, założyliśmy w pięciu (Płużański, Pułaski, ja, Gurowski i Krępowiecki) Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Za nami wyszło było zaraz ze zgromadzenia ogólnego, dnia poprzedniego, siedmnastu, i tych, ukonstytuowawszy się sami, na pierwszem naszém posiedzeniu, na członków Towarzystwa przyjęliśmy. Tym sposobem, w liczbie dwudziestu dwóch, podpisaliśmy akt założenia, zwany także pierwszym manifestem Towa

Z powodu nieuwagi, łatwej do pojęcia, przy mojem osłabieniu fizycznem, przewróciłem naraz dwie kartki, i stąd pozostały te dwie stronnice białe.

Ten akt wypowiadał *śmiało i otwarcie* nasze pojęcia o sprawie narodowéj — w stósunku do ogólnéj sprawy wolności ludów — jakiémi już i w kraju, podczas powstania ożywieni byliśmy. Ogłosiliśmy go niebawem po polsku i po francusku, w osobnéj broszurze, wraz z ustawami i wnioskiém do zgromadzenia narodowego Polaków w Paryżu. Chcąc ten akt należycie zrozumieć i bezstronnie ocenić, trzeba się przenieść myślą w owe czasy i wiedzieć, że był układany pod wpływem zewnętrznych okoliczności; Polska srogiém przygnieciona jarzmem, nie mogła zaraz na nowo zrywać się do broni, Francya zaś, a z nią środkowa i południowa część Europy — Niemcy i Włochy — gotowały się wówczas do powszechnego, rewolucyjnego ruchu, którego ogniskiem był Paryż. "Wewnątrz roztérki domowe — pisał wówczas Maurycy Mochnacki (*Do rodaków bawiących w Paryżu*) — zewnątrz wojna ledwo nie powszechna groża społecznemu układowi oświeceńszych lu-

dów, konstytucyi ich rządów i zasadom ich polityki. Z przyszłą wiosną może się wszystko odmienić. Czyż nam nie należy przewidzieć naprzód tych zdarzeń, i zawczasu myśleć: jaką z nich korzyść odnieść zdołamy w sprawie naszéj Ojczyzny?"

Otóż my takie zdarzenia, o jakich mówił M. Mochnacki, przewidywali, czyli przypuszczali. Przypuszczając je zaś, jako wówczas bardzo prawdopodobne, nie chcieliśmy też pozostać zupełnie bezczynnymi. Lecz cóż lepszego mogliśmy uczynić wobec gotującego się ruchu rewolucyjnego w oświeceńszéj części Europy, który, według wszelkich poszlak, gdyby był nastąpił, miałby był charakter demokratyczno-republikański — cóż lepszego, pytam się, mogliśmy uczynić, jeżeli nie łączyć i kojarzyć naszéj sprawy narodowéj ze sprawą ogólnéj wolności ludów, wystawiając jéj ważność zarówno pod względem społecznym jak politycznym. Odzywając się do przodowników w oświacie na Zachodzie i Południu Europy,

do myślicieli politycznych i społecznych, do publicystów, i wskazując im, że Europa, w interesie postępującej oświaty i ludzkości, ma obowiązek wyswodzić Polskę z pod potrojnego obcego jarzma, wskazaliśmy zarazem ujarzmionym na ziemi ojczystéj rodakom konieczną potrzebę zrobienia rozbratu z témi wyobrażeniami i przesądami, które Polskę w niemocy trzymały, do upadku przywiodły i z upadku podnieść jéj się nie dozwoliły. Powiedzieliśmy między innémi:

"Gdy ludzie na polskiéj mieszkający ziemi, bez względu na ród lub wyznanie, uznają swą godność, swoje istnienie, swój tak materyalny jak i moralny interes, i użycia praw dla ogółu, zniszczenia szczególnych przywilejów dopominać się będą, wtenczas w imię tego powszechnego dobra, śmieléj od Europy, od oświaty pomocy żądać będą mogli. Tak więc powołaniem Polski wobec Europy, wobec ludzkości, jest wywoływanie tego potężnego wsparcia, ale wywoływanie go w imię i na korzyść potrzeb

większości, której ogólny interes może jedynie uszlachetnić sprawę Polski. Tym tylko sposobem może Polska śmiało do Europy przemawiać, i na téj jedynie zasadzie, gdyby ją — co niepobrza — opuściła, też Europę wyrzutem oziębłości obarczyć miałaby prawo.".........

"Lud polski wolny, swobodny, ale lud cały potrafi i Rosyan natchnąć dążeniem towarzyskiego życia; bo jedynem powołaniem Polski, jedynym jéj dla ludzkości obowiązkiem jest nieść w głębie Wschodu prawdziwą oświatę i zrozumienie praw człowieka. Na téj zasadzie istnienie Polski jest potrzebą cywilizacyi, szczęścia i pokoju Europy. Polska jest i będzie jéj przedmurzem, zasłoną, ale nie dlatego jedynie, aby krwawémi nacisk barbarzyństwa odpierać walkami, lecz aby siłę jego umniejszać dobroczynném rozprzestrzenianiem równości towarzyskiéj, równego i wolnego używania swobód życia: jednem słowem, aby wydzierając ciemnocie niewolników, zamieniając ich w ludzi, wytrącać powoli broń, jaką dotąd despotyzm zagraża jeszcze

ludzkości. Lecz — powtarzamy jeszcze raz — aby Polska temu powołaniu godnie odpowiedzieć mogła, istnieć musi wolna i niepodległa; musi sama używać dobrodziejstw, do jakich udzielania drugim jest powołaną."

Tém piérwszém wystąpieniem i takiém wypowiedzeniem naszych zasad, naszych wyrozumowanych zapatrywań na sprawę narodową, wywołaliśmy na siebie ze wszech stron gniew i oburzenie, pomiędzy rodakami. Dałem to już poznać w broszurze: "O początku demokracyi polskiéj", oraz w "Uwagach ~~prz~~ Centralizacyi przy dyskusyi nad manifestem Towarzystwa z r. 1836." Rozpisywać się téż tu o tém i nie mogę i nie chcę. Nie mogę tu jednak przemilczeć, że ci mniéj więcéj szanowni, i mniéj więcéj nie myślący przeciwnicy czy nieprzyjaciele nasi nie raczyli się wdawać w żadne rozumowania i zbijać naszych zapatrywań jakiémiś argumentami. Im dosyć było dadź demokratom jakąś ubliżającą i obelżywą nazwę. Pomimo, że Towarzystwo swą protestacyą, zaraz z d. 8 Maja, przeciw traktatom

od r. 1772 Polskę rozszarpującym, stwierdziło, na nowo i jak najdosadniéj, swoje patryotyczne przekonania, mniéj więcéj uprawnieni dzierżyciele władzy w powstaniu i potakujący im ich usłużni zwolennicy, odmawiali demokratom patryotyzmu i zgoła szlachetnych uczuć. Pomiędzy tymi ostatnimi, odznaczał się naprzód i do śmierci (20 Grud. 1834 r.)[X] Maurycy Mochnacki, ten sam Mochnacki, co, niedawno przedtém, tak samo jak my zapatrywał się na współczesny stan rzeczy w Europie, i z przewidywanych zdarzeń, gdyby się ziściły, radził emigracyi korzystać — ten sam Mochnacki, — głowa niepospolita, ale niepomiernie ambitna i dlatego w wielu razach przewrotna — podburzał naprzód kogo mógł przeciw Towarzystwu w Paryżu, potém, dla zbałamucenia umysłów i sparaliżowania demokratycznéj propagandy, napisał z talentem prawdziwego sofisty złudną broszurę: "O towarzystwie wzajemnéj pomocy", którą ówczesny przyjaciel jego Alexander Jełowicki pod swojém imieniem w r. 1833 drukiem ogłosił,

[X] Mówiono, że śmierć Mochnackiemu przyśpieszyła zgryzota, jaką mu miał wyrządzić Ludwik Nabielak swym listem, datowanym 29 Listop. tegoż roku, w którym mu dosadnie wykazał jego zmiennictwo. Ja wolę myśléć, że on — w 30 r. życia umarł na tę samą chorobę, co i młodszy brat jego Kamil.

nareszcie w r. 1834, po uroczystém "Oświadczeniu" blisko 3,000 emigrantów przeciw działaniom Ks. Czartoryskiego na szkodę ogółu Emigracyi, ten sam Mochnacki, w okólnikach pisanych przez niego z Auxerre (Yonne) – jakoby w imieniu tamtejszego zakładu – usiłował udadź członków Towarzystwa Demokratycznego za agentów rządu rosyjskiego, a Księcia Czartoryskiego ogłosił za jakoby jedynie nam pozostały sztandar, około którego miała się Polska gromadzić i pod jego naczelnictwem podnieść insurekcyę!...

Akt założenia Tow-a, czyli pierwszy jego manifest, naznaczający Polsce, na wewnątrz i zewnątrz, cywilizacyjne posłannictwo, uszlachetniający jéj sprawę w oczach przyjaciół ludzkości, i zespalający ją z cywilizacyą Zachodu, był zbiorowém, wyłącznem dziełem nas pięciu założycieli, lubo podpisany został, wraz z nami, także przez siedmnastu, którzy się zaraz, przy opuszczeniu przez nas Zgromadzenia narodowego, do nas przyłączyli. Nim przystąpiliśmy do podpisa-

nia onego, wypadło nam, raz na zawsze, ustanowić porządek, w jakim mieliśmy kłaść nasze podpisy na wszystkich zbiorowych aktach. Zgodziliśmy się jednomyślnie, aby to los rozstrzygnął. Gdy zaś przyszło do losowania, ja wyciągnąłem 1sz numer, 2gi Gurowski, 3ci Krępowiecki, 4ty Pułaski, a 5ty Płużański, (ten ostatni został wybrany sekretarzem.) W tym też porządku podpisaliśmy protestacyę przeciw traktatom Polskę rozszarpującym, odezwę do Obywateli żołnierzy i inne jeszcze akta zbiorowe, drukiem nie ogłoszone, dopóki się grono nasze w Paryżu nie rozprzęgło i dopóki przy niém był główny kierunek. W tym oraz porządku zaciągnięci zostaliśmy do Ogólnej Kontroli, w której potém zapisywani byli ~~[illegible]~~ kolejno wszyscy członkowie, jak byli przyjmowani.

W tém miejscu, zdaje mi się, wypada mi powiedzieć słówko o każdym ze czterech moich współzałożycieli Tow. i scharakteryzować go cokolwiek: Lubo żaden z nich nie wytrwał w poślubionych raz zasadach, muszę jednak z góry, zgodnie z prawdą nadmienić, że jak przy założeniu Tow. tak i po-

źniej, przez parę miesięcy, panowała między nami pięcioma zupełna harmonia, i wówczas mogło się stósować do nas zdanie mówcy i filozofa rzymskiego: Idem velle atque idem nolle, hoc demum firma amicitia appellatur.

Niestety! mało jest przykładów, aby w stowarzyszeniach, czy politycznych, czy jakichkolwiek innych, nie wyrodziły się, poźniej lub rychléj, jakieś niechęci, jakieś zawiści i drobne ambicyjki, a z tych, w prostém następstwie, swary i niesnaski. Tak się stało i w Tow. dem. polskiém, zaraz w jego początkach. Owa harmonia, owa przyjaźń wzajemna, o któréj wspomniałem, i która, jako wynikła z tożsamości pojęć i uczuć polityczno-społecznych — zdawała się być trwałą, nie trwała dłużéj nad dwa miesiące.

D. 8 Maja uchwaliło Tow. protestacyę przeciw wszystkim traktatom od r. 1772 Polskę rozszarpującym, i wysłało z nią Gurowskiego do Londynu, albo raczéj powierzyło mu ją tylko do ogłoszenia w tamtejszych dziennikach, bo on tam jechał swo-

im kosztem i w swoim familijnym interesie.(x) Gurowski miał od Towa zupełne pełnomocnictwo do wystąpienia w jego imieniu imieniu, jeżeliby się tego okazała potrzeba – i tylko, dopiéro po powrocie, miał mu zdadź ze swych czynności sprawę. W końcu tegoż miesiąca Maja, miał się odbydź – jakoż i odbył się, ale bez skutku – wielki zjazd patryotów t.j. rewolucyonistów niemieckich w Hambach, w Bawaryi Nadreńskiéj, czyli w tak zwanym Palatynacie. Na ten zjazd wzywali Niemcy oficerów polskich, i mieli rozpocząć rewolucyę, uderzeniem na związkową fortecę w Moguncyi i wzięciem onéj. Na ten zjazd, na który Komitet Narodowy Lelewela i Komitet francusko-polski Lafayeta wysyłały wspólnie Jana Czyńskiego, i pułkownik inżynieryi Kozakowski wyjeżdżał, chciał Krępowiecki bydź wysłanym od Towa i otrzymać takie samo pełnomocnictwo, jakie było udzielone Gurowskiemu do Londynu. Towo przychyliło się tylko w części do jego żądania: upoważniło go wprawdzie do wyjazdu i

(x) Gdy Gurowski ogłosił protestacyę Towa w Morning Herald, bawiący współcześnie w Londynie Niemcewicz powiedział mu: "Ależ Anglicy nie myślą wcale o przywróceniu Polski w przedrozbiorowych granicach. Tyś młody i silny, zmuś ich do tego!.." Wyznaje to sam Niemcewicz w 1 czy 2 tomie ostatnich swoich pośmiertnych pamiętników, których wydania podjął się J. K. Żupański. Godny to był koncept wysłużonego dworzanina ks.ks. Czartoryskich. (Nie dokładna cytacya!)

do wnijścia w stósunki z mającymi się zebrać na tym zjeździe patryotami niemieckim — tak sympatycznie dla sprawy polskiéj usposobionymi — ale oraz zobowiązało go do zdawania, co tydzień, ze swych czynności raportu sekretarzowi Płażańskiemu. To Krępowieckiego nie zadowoliło, wyjechał też z kwaśną miną. Miał on zbyt wielkie rozumienie o sobie, mianowicie pod względem znajomości sztuki wojskowéj, któréj niemógł nabydź w krótkiéj swéj służbie, podczas powstania. Z guwernera dzieci po sławnéj pamięci generale J. Henryku Dąbrowskim — syna Bronisława i córki Bogusławy — został on był, w korpusie Dwernickiego, porucznikiem artyleryi i ozdobiony krzyżem Virtuti militari; ale to mogło dowodzić tylko jego męstwa, nie zaś wyższego uzdolnienia oficerskiego w uczonéj broni, jak artylerya. Nie mogło zdolności jego wojskowych dowodzić i to, że, będąc adjutantem Krukowieckiego, został pod Wolą nieco ranny w głowę, w czasie szturmu Moskali na Warszawę. Istotną wyższość nad wielu członkami Towa miał

w tém, że umiał nie źle po francusku, a oni albo mało co, albo wcale nic; że znał Woltera i Russa, a oraz wysławiał się łatwiéj od wielu innych, i mówił zawsze z deklamacyą, co u wielu uchodziło za istotny dar wymowy. Zgoła, zarozumiały Krępowiecki nie widział potrzeby zdawać, co tydzień raportu sekretarzowi Płużańskiemu, jak go do tego Tow. wyraźnie zobowiązało. Pomimo, że w Hambach do niczego nie przyszło, on do Paryża, przez parę miesięcy, nie wracał, i napisywane do niego, regularnie co tydzień, listy milczeniem Płużańskiemu odpowiadał. Nareszcie, gdy Płużański mocno na niego naparł, i, wystawiwszy mu całą nieprzyzwoitość tak niesfornego postępowania, pogroził mu wykreśleniem, odpisał, że on nie dba o Tow. i sam sobie za Tow. obstoi. Taka odpowiedź oburzyła niezmiernie wszystkich członków, i niektórzy chcieli go natychmiast z Tow. wykreślić. Ale na moje i Płużańskiego przedłożenia wstrzymano się od tego. Gdy powrócił, tłómaczył się, że długo był chory,

i dlatego Błażańskiemu nie odpisywał, a kiedy go tenże do odpisania zmusił, jeszcze schorzały i w łóżku, a tém samém w złym humorze, wziął pióro do ręki, i dał mu taką odpowiedź, jakiéjby mu był nie dał, gdyby był zdrowym. Poprzestano na tém tłómaczeniu się jego, i odtąd był w porządku do miesiąca Listopada. W tym miesiącu miał się odbydź — jak się w saméj rzeczy i odbył — obchód drugiéj rocznicy 29go pod prezydencyą generała Lafayeta. Towo postanowiło nie brać udziału w tym obchodzie t.j. nie wysyłać nań ze swéj strony żadnego z członków jako mówcy; wszyscy tylko jako słuchacze przyrzekli bydź na nim. Sam jeden Krępowiecki, nieobecny na tém posiedzeniu, był innego zdania, i bez naszéj wiedzy napisał sobie mowę, którą mu znajomy Francuz poprawił. Tę mowę przyniósł nam 27 czy 28 Listopada, i chciał nam ją przeczytać, aby z nią na obchodzie mógł w imieniu Towa wystąpić. My nie chcieliśmy nawet słuchać czytania téj jego mowy, i odpowiedzieliśmy mu, że mu jéj odczytać na obchodzie wzbronić nie możemy, ale mu za-

braniamy występować w imieniu Tow^a. On przecież i tak postanowił postawić na swojém, i wydeklamował tę mowę w swojém imieniu na rzeczonym obchodzie, odbytym w jednéj z dawnych sal opactwa St Germain des prés Jana Kazimierza, z wielkiém nieukontentowaniem prezydującego gen. Lafayeta i asystujących mu generała Dwernickiego i wojewody Antoniego Ostrowskiego, jako téż licznego zgromadzenia Polaków i Francuzów. Mowę tę, w któréj przyrównał szlachtę polską do plantatorów trzciny cukrowéj w Ameryce, a lud wiejski, ciemiężony przez nię, do negrów, wydrukował potém w dzienniku La Tribune, wydawanym przez Armand Marrast, i żądał od nas, abyśmy ją w tłómaczeniu polskiém, ogłosili w broszurze, którą Tow^o wkrótce wydadź świata. Odmówiliśmy mu tego, rzecz prosta, nie zważając na jego wyrzucanie nam braku solidarności, którą, sam zerwał. Aby się zemścić, chciał wywołać scyzyę w Tow^e, podburzając przeciw nam członków w Paryżu, a szczególniéj już i na prowincyi będących. W Paryżu namówił młodziutkiego wówczas Stanisława Ra-

pelewskiego — późniejszego autora Słownika polsko-francuskiego — który jeszcze żadnej opinii ustalonej nie miał, aby wszedł do Towa i potém zaraz wkrótce wykreślił się z niego. Ten młodzieniaszek dał się użyć za narzędzie, i tak zrobił. Jakoż, w kilka czy kilkanaście dni, po przyjęciu go na członka ogłosił swoje wystąpie z "Towarzystwa demokratycznego polsko-paryskiego", w jednym z piérwszych numerów Pielgrzyma Polskiego (w małym formacie), który wówczas zaczął wydawać Eustachy Januszkiewicz. Nazwanie Towa "polsko-paryskiém" miało znaczyć, jakoby już inne ~~inne~~ towarzystwo demokratyczne istniało między Polakami na prowincyi. Tak nieuczciwe, antydemokratyczne postępowanie Kręgpowieckiego nie mogło bydź ~~dłużéj~~ cierpianém. Do wykluczenia go jednak z Towa nie zaraz przyszło. Dopiéro 16 Stycznia 1833 r. Artur Zawisza, poparty przezemnie, podał go do wykreślenia, i wykreślony został. Zawisza swój wniosek do protokułu rozpoczynał w tych słowach: "Szymon Kręgpowiecki, Tadeuszem zwany,

przez małych do wielkości pchany..." Trzeba bowiem wiedzieć, że Krępowiecki miał na imię Szymon, i tak się tylko przed powstaniem Listopadowém nazywał; w powstaniu zaś, zapewne, dlatego nazwał się Tadeuszem, że się Kościuszko tak nazywał.

Gdybym się chciał nieco obszérniéj, jak dotąd, zatrzymywać nad Szymonem czy Tadeuszem Krępowieckim, gdybym chciał opowiadać, z jakich on powodów — wraz z Pułaskim i Stanisławem Worclem, wydalony został z Paryża do Belgii, a stamtąd, po niejakim czasie, znowu do Anglii, nie starczyłoby mi na to papiéru w tym zeszycie. Dosyć, kiedy powiem:

że, po przybyciu do Anglii, udał się wnet do miasta portowego Portsmouth, gdzie już była liczna sekcya Tow: Dem. pol. ze stu przeszło członków — samych żołnierzy — złożona;

że osiadłszy tam z Worclem i Pułaskim, jął się ogłaszać tym poczciwcom komunizm, biorąc za podstawę téj kliby nec plus ultra społecznéj doktryny, dzieło: "Système de l'égalité" sławnego z pier-

wszéj rewolucyi francuskiéj anarchisty Babeuf'a;

że mu się udało całą tę sekcyę skłonić do oderwania się od Tow. Dem. i do przybrania nazwy "Ludu Polskiego" (Gromady Grudziądz i Humań);

że potém, przez długi czas, w imieniu tego "Ludu Polskiego" wydawał obelżywe do Tow. i o Tow. odezwy, wraz ze St. Worcelem, Sewerynem Dziewickim i Reces[em] Wątrobką, za to, iż odrzuciło i potępiło naukę komunizmu, która nb. miała wówczas głośnych apostołów: Cabet'a, we Francyi, a Owen'a, w Anglii;

że nareszcie opuszczony, wraz ze swymi socyuszami, przez ten swój "Lud Polski", osiadł w Londynie, i wytrzeźwiwszy się z bałamutnej doktryny, przyjęty został napowrót do Tow. w r. 1846, na własne żądanie i po złożeniu stósownej deklaracyi, i umarł w tém mieście w następnym, czy jeszcze w tym samym roku.

Zbytnia, niewczesna i niczém nieusprawiedliwiona żądza znaczenia sprowadziła na kilkanaście lat Krępowieckiego z drogi praktycznych reform społecznych, jaką Tow. Dem. dla jéj oswobodzenia z pod obcego ucisku, Polsce

otwierało. I wówczas jednak nie można mu było patryotyzmu odmówić; i wówczas z pewnością chciał on jak najlepiej służyć sprawie niepodległości Ojczyzny, nie odłączając od niej sprawy ludu polskiego, źle tylko rzeczy pojmował przez te lat kilkanaście.—

O Gurowskim gdybym mógł, rozpisałbym się obszérnie; ale że nie mogę, dla wypowiedzianych już niejednokrotnie przyczyn, więc powiem tylko to, co za niezbędne uważam.

Oświadczam z góry, że go jako odstępcy, jako zbiega z pod chorągwi narodowej, bronić i uniewinniać nie myślę. Nie ja to zapewne mógłbym się podjąć podobnéj obrony; ja, który także — jak w swojém miejscu nadmieniłem — mogłem do kraju wrócić bez obawy szubienicy lub Sybiru, a jednak przeniosłem dobrowolne wygnanie, i postanowiłem w niém wytrwać usque ad finem. Nie mogę przecież przemilczeć okoliczności łagodzących poniekąd Gurowskiego postępek. Że Gurowski przed 29 Listopada był gorącym patryotą, i jak czynny brał udział w ówczesnych związkach patryotycznych, opisał to M. Mochnacki

Z otwarciem kampanii w r. 1831 zaciągnął się do wojska, mianowicie do 1go pułku strzelców pieszych, i musiał się odznaczyć pod Białołęką czy Grochowem, skoro otrzymał stopień oficerski i krzyż virtuti militari. Po bitwie Grochowskiej nie uciekł do Paryża – jak to po jego odstępstwie głoszono – ale tam wysłany został w jakiejś misyi przez zastępcę ministra spraw zagranicznych Gustawa Małachowskiego. To jest fakt, tylko faktem także jest, że Gustaw Małachowski, jego niegdyś współuczestnik w związkach patryotycznych, obłudnie a raczej zdradziecko z nim postąpił, bo jednocześnie napisał do naszych niezdarnych agentów dyplomatycznych w Paryżu (gen. Kar. Kniaziewicza i Lud. hr. Platera), że Gurowski żadnej misyi nie ma. Po prostu chciano się go pozbydź z Warszawy i kraju. Mimo to, Gurowski nie wrócił do kraju, bo nie sądził, aby powstanie, przy nadanym mu przez sejm kierunku, mogło wyjść zwycięsko z zapasów z przemożną Moskwą. Doczekawszy się w Paryżu przybycia do Francyi licznej Emigracyi, brał czynny udział – jak widno z tego, co wyżej powiedziałem – we wszystkich poczat-

kowych naradach zgromadzonych Polaków w stolicy Francyi, a o podźwignieniu i doprowadzeniu do pomyślnego skutku sprawy narodowéj nie zwątpił. Rychłe atoli ziszczenie tych nadziei czynił zależnym od przewrotu stanu rzeczy w Europie, od rewolucyi, która zdawała się nieuniknioną we Francyi, a także w Niemczech i we Włoszech. W tém byliśmy z nim zgodni, my, cośmy z nim Tow. Dem. polskie założyli; bo każdy z nas czterech tak samo myślał, i o wywoływaniu zaraz znowu powstania (jak niektórzy marzyli) wyjść nie chciał. W r. 1833, gdy się nasz Komplet Centralny w Paryżu zdezorganizował przez wyjazd wielu członków, w których liczbie byłem i ja, a szczególniéj przez wyjazd Hużańskiego, który, jako sekretarz był jego duszą, z drugiéj zaś strony przez napływ do Paryża nowych członków ze sprzecznémi zdaniami, Gurowski, wierny zasadom w akcie założenia Tow.ª ogłoszonym, zaczął wydawać pismo czasowe: „Przyszłość", ale go wydał tylko jeden zeszyt. Dopiéro, gdy pod koniec 1834 r. wraz ze ścieśnieniem wolności druku we Francyi, jak poprzednio w Niemczech, zniknęła

nadzieja rychłéj rewolucyi na Zachodzie i Południu Europy; gdy w tym samym czasie umarła mu w kraju żona, zostawiając bez opieki dwoje małych dziewcząt, a rodzona jego siostra – za jakimś wysokim czynownikiem w Petersburgu, nazwiskiem Frederiks – z powodu tego jego owdowienia, naglila go do powrotu do kraju, dopiéro na jéj nalegania dał się Gurowski nakłonić do podania się do amnestyi, którą też podobno za jéj głównie przyczyną otrzymał, bo miała mieć wielki wpływ u dworu carskiego.(x) Wrócił jednak do kraju czy do Rosyi sam; nie starał się o wspólników w téj swojéj apostazyi politycznéj, jak to robili książę Światopełk Mirski, Wacław hrabia Jabłonowski i inni. Wydał tylko broszurę pod tytułem: "La vérité sur la Russie", któréj żaden Polak nie może czytać bez odrazy i oburzenia. Że on nie mógł wrócić pod rządy carskie jak prosty, żadnym szczególnym czynem patryotycznym nieodznaczony emigrant, że musiał dadź jakąś rękojmię carskiemu rządowi swojéj na przyszłość wierności, to zaiste pojąć łatwo. Ale on zaprawił rzecz swoję cynizmem i złą wiarą. Złą

(x) O tym jéj wpływie u dworu carskiego wspomina Niemcewicz, nie pomnę tylko w których ze swoich pamiętników.

wiarą, bo cały naród polski — przeciw własnemu, jak myślę, przekonaniu — nazwał trupem, gdy wprzódy pod politycznym względem, tak nazywał tylko stan szlachecki, który niepodległości kraju nie mógł ani utrzymać, ani utraconej sam jeden odzyskać.

Dalsze losy Gurowskiego w caracie nie są mi wiadome. Mówiono, że był naprzód wyższym czynownikiem przy gubernatorze w jednej ze środkowych gubernij, a potem gubernatorem cywilnym w Rydze. Mówiono także, iż w r. 1848 czy 1849 przyjechał czterokonnym powozem do Szczypiorna pod Kaliszem, i zostawiwszy tam powóz wraz z końmi i służącym, przeszedł sam pieszo granicę pruską. Wiem zaś z pewnością od młodych emigrantów polskich, przebywających 1849 r. w Szwajcaryi, że on tam już był, i niektórym biedakom obiady kupował, przepraszając, że im większych usług świadczyć nie jest w stanie. Później przeniósł się do Ameryki, do Stanów Zjednoczonych, i miał posadę rządową w Waszyngtonie, podobno w Biórze pomiarów brzegów morskich. Kiedy, po wydaniu w r. 1862 broszury: „O początku demokracyi polskiéj," posłałem mu jeden exemplarz za pośrednictwem Henryka Kałussowskiego, podziękował mi za niego listownie, mówiąc wyraźnie, żem dobrze zrobił, pomimo żem go nazwał odstępcą. Wówczas nie miał on już po-

sądy rządowej, ~~że~~ był tak biedny, że nie miał 80 centymów (½1 złp.) ~~polsk~~ na opłacenie listu, i za to mnie przeprasza. (List ten jest pomiędzy mémi papierami w Bibliotece Uniwersytetu). W kilka lat później umarł, jak donosiły dzienniki, a między innémi, Dziennik Poznański.

Pozostaje mi tu mówić jeszcze o Pułaskim i Plużańskim, jako o współzałożycielach i członkach Tow^a; ale że o tym wypowiedziałem już ostatecznie me zdanie z początku tych Notatek, więc tylko o tamtym powiem kilka słów, o ile na to papieru tu starczy.

Ks. Pułaski był, przed powstaniem, głośnym profesorem języka i literatury polskiej w szkołach swego Zgromadzenia, a oraz głośnym kaznodzieją w Warszawie. Podczas powstania, był kapelanem w korpusie Dwernickiego, miewał patryotyczne mowy dla wojska, z których niektóre, wraz z jego do mnie listami, ogłosiłem w Gazecie Polskiej. Później był najczynniejszym z wice-prezesów Tow^a Patryotycznego. W Paryżu, w parę miesięcy po założeniu Tow^a Dem. przyzwyczajony miewać w szkołach faworytów pomiędzy uczniami, chciał i w Tow^e stworzyć sobie powolną partyjkę. To nie mogło się ukryć, i dawało powód przeciwnikom Tow^a do różnych szykan. W skutku tego musiał być wykreślony, wraz z J. K. Ordyńcem, któremu w tém koteryjném postępowaniu pomagał (x). Ambicya jego była drobna i niewczesna jak Krępowieckiego; Gurowski takiéj nie miał. W Anglii odstrychnął się wkrótce od Krępowieckiego, i umarł w Londynie 1838 r. nieszczęśliwym

(x) Jan Kazim. Ordyniec wydawał przed powstaniem czasopismo: Dziennik Warszawski, ten sam, o którym wspomina legenda: "Odyniec i Ordyniec, z Ordynatą Łaski, wstawieni w ordynku, patrzą w ogród Saski." — Pułaski na imię chrzestne miał właściwie tylko Aleksander, dopiero w powsta-

Juvisy, 31 Października 1881 r.

J.M.Jan

Może się jeszcze zdobędę na VI-ty zeszyt tych Notatek, ale ich nie będę już spisywał w ten sam sposób, jak dotąd.